Nr. 132. Lwów — Piątek dnia 10 Czerwca. **Rok 1892.**

Wychodzi codziennie z wyjątkiem dni poświątecznych.

Cena prenumeraty.

We Lwowie bez dostawy		Na Prowincji z przysyłką pocztową	
Miesięcznie	-zł. 75 ct.	Miesięcznie	zł. 1·10
Kwartalnie	2 „ 25 „	Dwumies	„ 2·10
Półrocznie	4 „ 50 „	Kwartalnie	„ 3·—
Rocznie	9 „ — „	Rocznie	„ 12·—

Za dostawę do domu miesięcznie 25 ct.

Numer kosztuje 4 centy.

Prenumeratę z dostawą do domu we Lwowie należy składać w Biurze Dzienników, ul. Karola Ludwika Nr. 9.

Prenumerata tak miejscowa jak i zamiejscowa winna się kończyć z końcem miesiąca, kwartału, półrocza lub roku. Inne się nie przyjmują.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

Z zamiejscowa prenumeratą zgłaszać się należy do Administracji „Przeglądu“ we Lwowie przy ulicy Sykstuskiej L. 45. — Zmiana zamiejscowej prenumeraty na miejscową i odwrotnie jest niedopuszczalna.

Uprasza się prenumeratę przysyłać przekazami pocztowemi, a nie w kopertach. Osoby przysyłające pieniądze w kopertach raczą dopłacać po 5 ct. do każdego listu.

Miejscową prenum. we Lwowie przyjmują Trafika J. Ważnego, ulica Czarnieckiego 2, „ przy ul. Karola Ludwika 5, „ „ ul. Jagiellońskiej liczba 4, „ „ ul. Słowackiego (obok łazienek Dianny) Biuro dzienników, ul. Karola Ludwika liczba 9

Rękopisów Redakcja nie zwraca.

Dziś: św. Małgorzaty P. | Fteodozyi
Jutro: św. Barnaby Ap. | Jermya Ap.

Adres Redakcyi i Administracyi: ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.**

Wschód słońca g. 4 m. 6, Zachód „ 7 „ 53

Długość dnia 15 g. 47 m. Przybyło dnia 1 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 9 czerwca.

Współczesna Anglia przedstawia pod pewnym względem widowisko całkiem odmienne, niż reszta krajów europejskich. Podczas gdy na stałym lądzie główny prąd polityczny ciągle jeszcze pędzi narody do coraz większej centralizacyi państwowej, przybierającej zwolna kształty socyalistyczne, w Anglii przeciwnie rozwija się idea federalistyczna, dążąca do rozbicia państwa już nawet nie na dawne historyczne części, ale wprost na hrabstwa, jako na małe państewka, połączone ze sobą federalistycznie, jak Stany północno-amerykańskie łączą się w jedną wielką republikę dla niewielu spraw wspólnych. Jest to zresztą prąd zrozumiały, jako konsekwentny rozwój idei autonomicznej, wywołanej z początku tylko dla Irlandyi, potem i dla Szkocyi, następnie dla Walii, a w końcu już dla wszystkich. Każde hrabstwo zapragnęło dla siebie takiego samorządu, jaki Gladstone pokazywał Irlandyi dla przynęty deputowanych tego kraju do siebie. Idea autonomiczna stała się tak popularna, że całe Trójjedyne królestwo gotowe było pójść pod gladstońskie sztandary; każde uzupełniające wybory do parlamentu uszczuplały torysowską większość; nawet w okręgach odwiecznie konserwatywnych, w tak zwanych „cytadelach torysowstwa“, zaczęli zwyciężać zwolennicy home-rule. Stało się jasne, że powszechne wybory, przeprowadzone pod hasłem rozczłonkowania państwa na prowincyonalne atomy, dadzą Gladstonowi większość, za czem musi pójść wyodrębnienie Irlandyi. Prądowi temu nie można się dziwić, chociaż jako skrajny, przesadny w swych postulatach, zdrowy nie jest. Szeroka autonomia prowincyonalna osłabia państwo, czyni z niego maszynę ciężką, ale otwiera pole niezliczonemu mnóstwu prywatnych ambicyj i daje kosztem społeczeństwa chleb olbrzymim zastępom nowych urzędników. Polityka, jak teologia należą do najtrudniejszych nauk, ale są tak nieszczęśliwe, że o nich każdy, wcale nawet nieprzygotowany odpowiedniemi studyami, uważa się za zdolnego do decydowania. Któż nie sądzi, że potrafiłby świat przebudować i uszczęśliwić! A takich budowniczych niepowołanych jest coraz więcej, odkąd do wpływania na sprawy państwowe wzywane są coraz liczniejsze zastępy wyborców. Skoro się zgodzono na zasadę wyborczą, trzeba się zgodzić na wszystkie jej konsekwencye, a one koniecznie prowadzą do wielkich zmian — czy to do państwowego socyalizmu, jak na stałym lądzie Europy, czy do skrajnego federalizmu, jak na brytańskich wyspach.

Kiedy już prąd autonomiczny ogarnął całe Trójjedyne królestwo i przy każdych uzupełniających wyborach objawiał się zwycięztwem gladstonistów, natenczas rząd torysowski, aby uratować bodaj państwową całość, dał samorząd hrabstw z początku w Angli właściwej, potem w Szkocyi, a na ostatku — właśnie teraz — zaproponował trochę odmienny dla Irlandyi. Sądził, że nasyciwszy głód autonomiczny narodu, powstrzyma dążność federalistyczną, odbierze angielskim i szkockim wyborcom cel wspólny z Irlandczykami. Stało się jednak inaczej, bo autonomia hrabstw tylko zaostrzyła apetyty. Gladstone posunął się dalej, powiedział, że właściwie każde hrabstwo powinno być samo dla siebie małą republiką — i ten nowy program znalazł aprobatę tłumów.

Na tym punkcie między torysami a gladstonistami jest niezgłębiona przepaść, ale na innym oni się zgadzają. Oto, tak Salisbury, jak Gladstone są zdania, że ustawowe zaprowadzenie ośmiogodzinnego dnia pracy byłoby wielką niesprawiedliwością i klęską. Niesprawiedliwością, bo jakże można zakazywać rzeczy tak zacnej, jak praca, jeśli ktoś chce jej mieć więcej, niż próżniak i wygodniś! A klęską, bo ze względu na stan światowego rynku i wobec systemów celnych, utrudniających wywóz angielskich towarów za granicę, Anglicy nie powinni zwiększać kosztów swej produkcyi, więc i skracać czasu pracy, gdyż w przeciwnym razie ich eksport stałby się jeszcze mniejszy, a wówczas robotnicy nie mieliby roboty nietylko na ośm, ale i na cztery godziny dziennie. Tak mówi trzeźwy rozum, ale kto bądź co bądź chce się dorwać władzy, ten się rozumem nie kieruje: on zaopatruje rzecz w popularną etykietę i prawi potem szumne mówki, na które, jak na wędkę, łapie wyborców.

Tak właśnie uczynił pewien odłam gladstonistów, obrawszy swym wodzem Harcourta. Odłam ów przyrzeka wszystkim wszystko: hrabstwom federalizm, Irlandyi odrębność, robotnikom ośm godzin pracy, Walii i Szkocyi zniesienie przywilejów państwowego kościoła, Londynowi, który ma w swem wnętrzu odrębne przywilejami i bogactwami miasto City, zniesienie tej odrębności, aby bogactwa tego kwartału rozpłynęły się na całą stolicę, — słowem, stronnictwo to, wcale nie dbając o konsekwencyę, jednych chce dzielić, drugich łączyć, bo mu idzie jedynie o połechtanie namiętności i o zdobycie tym sposobem władzy, a potem jakoś to będzie!

Tak tedy rozbił się obóz liberalny na gladstonistów i harkurtowców. Dodać jeszcze należy, że dwa stronnictwa irlandzkie nie zaniechały wewnętrznej wojny: mak-kersiści stoją przy Gladstonie, wyglądając odeń swobód politycznych, natomiast parneliści trafnie podnoszą, że przecież Gladstone ani razu jasno nie powiedział jaki jest jego program irlandzki, a ponieważ już raz on srodze zawiódł Irlandyę, przeto wierzyć mu nie można: niech się pierwej zwiąże słowem wygłoszonem publicznie, a wtedy Irlandczycy będą mogli swe wielkie wpływy rzucić na szalę Gladstona. Takie zapatrywanie zaczyna przeważać na Zielonej Wyspie — i oto znowu z tej strony zmniejszyły się szanse gladstonistów.

Gdy tak walczą ze sobą dwie frakcye wigowskie, szanse zaczynają się przechylać na stronę unionistów, którzy z wigami mają wspólne ideały społeczne, ale w kwestyach politycznych idą z torysami i pragną utrzymać całość państwową, dla czego też noszą nazwę unionistów. Być zatem może, że po wyborach ster rządów przejdzie nie do Gladstona, ale do księcia Devonshire'a, szefa unionistów, sprzymierzonych z torysami.

Parlament będzie rozwiązany w końcu czerwca. Według konstytucyi, w 35 dni potem musi się zebrać bodaj na kilka dni nowy parlament, a zatem wybory odbędą się w lipcu. Więc już niezadługo rozstrzygnie się kwestya przyszłych rządów w Anglii, nieobojętna dla całej Europy i dla jej sojuszów.

Z Paryża nam piszą:

„Coraz gwałtowniej szerzy się we Francyi, a zwłaszcza w Paryżu, agitacya anti-żydowska. Objaw to na pierwszy rzut oka dość dziwny, jeśli się zważy, że w całej Francyi na przeszło 38,000.000 mieszkańców, znajduje się zaledwie 100.000 żydów. Agitacya ta wolna też jest od wszelkiej nienawiści rasowej, a wypływa wyłącznie z niechęci ku kapitałowi i cudzoziemcom, wytwarzającym konkurencyę ludności miejscowej. Z samej natury rzeczy, w państwie tak na wskróś kapitalistycznem, jak Francya, żydzi rozporządzający olbrzymiemi kapitałami, odgrywają poważną rolę. Twierdzenie też antisemitów, że w obecnej chwili Rotszyld jest faktycznem panem Francyi, nie jest tak bardzo pozbawione podstawy. Ale nietylko na giełdzie, bo i na innych polach żydzi wywierają wpływ, nie pozostający w żadnym stosunku z udziałem ich w zaludnieniu.

Dość powiedzieć, że połowa prawie prefektów francuskich jest żydów. Co prawda, urząd prefekta, będącego niejako pośrednikiem pomiędzy rządem a ludnością danego departamentu, wyjątkowo jest poszukiwany przez żydów, którzy zresztą posiadają pokaźną liczbę głosów i w parlamencie, gdzie należą do najkrzykliwszych i najzjadliwszych przeciwników Kościoła. Wszystko to zapewnia agitatorom w rodzaju Drumont'a, margrabiego de Morés i innych, licznych zwolenników w walce z żydami. Naturalnie walka ta przy tutejszych stosunkach, przy potężnym wpływie, jakim się cieszą żydzi w decydujących warstwach społeczeństwa, nie ma teraz widoków powodzenia i ogranicza się przeważnie na burdach ulicznych i niemniej hałaśliwych zebraniach publicznych. Burdę taką urządzili antisemici podczas ślubu panny Julii Rothschildówny z bar. Leonino. Wychodzącą z synagogi młodą parę powitał zgromadzony na ulicy motłoch okrzykami: „Precz z żydami! Precz z Rothschildem!“ i obrzucał nowożeńców i orszak weselny kulkami napełnionemi assafetydą. Kameloci sprzedawali pismo antiżydowskie *Antiuoutre* i pamflet pod ironicznym tytułem *Vive Rothschild!* Niemniej burzliwe sceny rozgrywały się na zebraniu, zwołanem przed kilku dniami przez antisemitów w „Gymnase Cesari“. Tutaj piorunował markiz de Morés przeciwko „kosmopolitycznym wyzyskiwaczom, prowadzącym do upadku cały naród“. Po zebraniu, przyszło na ulicy do bójki pomiędzy studentami, odprowadzającymi p. Morés'a a publicznością, która na okrzyki studentów: *Vive Drumont! Vive Morés! A bas les Juifs!* odpowiadała okrzykami: *A bas Drumont! Vive la République!* Rzeczą w całej tej sprawie jest najciekawszą, że w antisemityzm bawią się przedewszystkiem bulanżyści, których wódz swojego czasu zawdzięczał chwilowe swe powodzenie pieniądzom żydowskim, a mianowicie pomocy bar. Hirscha, złożonego dzisiaj, ciężką chorobą“.

Korespondencye.

Kraków 8 czerwca.

Wczoraj o godzinie 10 wieczorem przybyli do nas Sokołowie czescy, wracający z uroczystości lwowskich.

Na dworcu oczekiwał ich prezydent miasta dr. Szlachtowski, prezes naszego „Sokoła“ dr. Styczeń, tudzież komitet, zajmujący się przyjęciem czeskich gości, z prezesem swym prof. drem Jordanem na czele. Liczne zastępy publiczności zapełniły cały peron kolejowy, tudzież plac przed dworcem.

Gdy pociąg wjechał na dworzec, zagrała kapela „Harmonii“ pieśń „Jeszcze Polska nie zginęła“. Czescy Sokołowie powiewali z okien wagonów czapkami i w wzorowym porządku wysiedli z wagonów i ustawili się na peronie.

Prezydent miasta dr. Szlachtowski przemówił do nich w te słowa:

„Na zaproszenie lwowskich Sokołów, obchodzących dwudziestopięcioletni jubileusz istnienia, pospieszyliści panowie, aby wziąć udział w narodowej uroczystości i przyczyniliście się do świetności obchodu. Krakowski obywatelski komitet, witając was w przejeździe, prosił, abyście panowie z powrotem zabawili w naszem mieście. Temu życzeniu zadosyć się staje i dla tego z gorącem sercem witam was panowie i dziękuję, żeście nie pominęli dawnej polskiej stolicy, której historya złączoną jest z dziejami sławnego narodu waszego. Jestem przekonany, że z prawdziwym pietyzmem spoglądać będziecie na liczne nasze pomniki i pamiątki, które, pomimo nieszczęść, jakie na miasto spadały, przechowały się do obecnej chwili, a które nam wszystkim są tak drogie. Pragnę z całego serca, aby pobyt wasz w naszem mieście przyczynił się do wzmocnienia przyjaznych węzłów, łączących od dawna pobratymcze nasze narody i wznoszę okrzyk: Przybyli do nas czescy Sokoły, niech żyją! Na zdar!“

Na powitanie to odpowiedział sekretarz związku czeskich Sokołów dr. Scheiner, dziękując przedewszystkiem za serdeczność, jakiej Czesi wśród Polaków na każdym kroku doznają. Dr. Scheiner zapewniał, że Sokołowie czescy z wruszonem sercem wstępują w mury Krakowa, który jest pomnikiem wielkiej i sławnej przeszłości Polski, i życzą nam z całego serca, aby sławna przeszłość Krakowa także przyszłości przekazaną została i aby wzrastała sława narodu polskiego. Mowę swą zakończył p. Scheiner okrzykiem „Na zdar“, który publiczność zebrana na dworcu powtórzyła, a kapela zaintonowała hymn czeski.

Z kapelą „Harmonii“ na czele ruszyli Czesi tudzież drużyna polskich Sokołów czwórkami przez oświetlone ogniami bengalskiemi ulice Lubicz, Basztową i Floryańską do rynku. Mimo deszczu, stały po obu stronach ulic gęste szpalery publiczności i witały gości serdecznie. W niektórych domach były okna oświetlone a panie rzucały kwiaty na przeciągające drużyny Sokole. Przed gmachem Sukiennic zatrzymał się pochód, a chór „Lutni“, ustawiony na galeryi, odśpiewał kilka pieśni słowiańskich tudzież Jareckiego „Straż nad Wisłą“. Po godzinie 11tej rozeszli się goście do przygotowanych kwater.

Dziś rano zwiedzali Czesi kościół Maryacki, gdzie ich oprowadzał prof. dr. Jordan i dr. Styczeń, a wysłuchawszy w tym kościele mszy świętej udali się na Wawel, zwiedzali pamiątki tamtejsze i złożyli wieniec u grobu Mickiewicza. Także na grobie Kościuszki złożyli wieniec z górskich kwiatów z napisem: „Polskiemu bohaterowi — Sokołowie czescy“. Wszystkich pamiątek w mieście zwiedzać nie mogli, gdyż od samego rana padał deszcz ulewny. O godzinie 11 przed południem odbyło się przyjęcie u prezydenta, a o 1szej udali się Czesi do Wieliczki celem zwiedzenia tamtejszych kopalni.

Po powrocie z Wieliczki mieli udać się do parku Jordana na popis dziatwy, lecz deszcz przeszkodził temu. — Jutro rano opuszczają goście czescy nasze miasto.

(*Dopisek Redakcyi*). Dzisiejsze pisma poranne lwowskie doniosły, że Czesi uczuli się obrażeni mową prezydenta dr. Szlachtowskiego, wypowiedzianą na kolei, gdyż miał on w mowie swej dawać im niejako lekcyę przyzwoitości, prosząc, aby „umieli uczcić mury starego Krakowa“. Doniesienie to jest złośliwym wymysłem, obliczonym tylko na to, aby dokuczyć czcigodnemu prezydentowi Krakowa, bo z dosłownego tekstu przemówienia p. Szlachtowskiego, podanego w powyższej korespondencyi, przekonać się może każdy, że jest ono jak najzupełniej odpowiednie i nie zawiera nic takiego, czemby Czesi mogli się uczuć dotknięci.

Katastrofa w kopalniach.

Praga 4 czerwca.

(*k*). Z każdą godziną powiększa się liczba ofiar katastrofy, która we wtorek zdarzyła się w kopalniach przybramskich. Początkowo myślano, że tylko stukilkudziesięciu górników znalazło śmierć w szybie Maryi w Birkenbergu, dziś cyfra ta wzrosła już prawie w trójnasób.

Zrozpaczone kobiety i dzieci biegną z całej okolicy do urzędu górniczego w Przybramie zapytać, co się dzieje z ich mężami i ojcami, którzy od wtorku do dziś jeszcze do domu nie wrócili — a tam albo dowiadują się, że krewni ich już pogrzebani, albo prowadzą je do poukładanych w trumienki kawałków ciał ludzkich, wydobytych z podziemi. Po tych kawałkach, tudzież po szczątkach odzienia, po podartych kapeluszach i innych drobnostkach dowiadują się biedne kobiety strasznej prawdy. Serce mało nie pęknie z boleści na widok tego, co się dzieje teraz w Przybramie i w promieniu trzymilowym dokoła. Nie masz prawie ani jednej rodziny, któraby nie płakała straty swego ojca, męża, brata, lub innego krewnego. Ciężko rzeczywiście nawiedził Pan Bóg tę poczciwą ludność z okolic Przybramu. A ludność ta to unikat jakiego w całej Europie nie znajdzie. — Trzeźwi, pracowici górnicy przybramscy nie chcą znać przewrotnych teoryj socyalizmu, byli zawsze zadowolnieni ze swej doli i wiedli pracowite i szczęśliwe życie. Rozkosz prawdziwą sprawiało patrzeć w drodze do Przibramu na rozsiane dokoła schludne domki, otoczone ogródkami. W domkach tych mieszkają górnicy ze swemi rodzinami, każdy prawie górnik jest tam właścicielem takiego domku. Ojciec rodziny z brzaskiem jutrzenki z latarką górniczą spuszczał się do podziemi, i tam połowę życia spędzał, żona i dzieci pracowały w domu i rodziny te żyły szczęśliwie, nie skarżyły się na swój los. Dziś schludne te domki okryte żałobą, cicho w nich i ponuro, o pracy nikt nie myśli — okolica opustoszała bo wszystko pospieszyło do Przybramu; tysiące ludzi oblęga otwory szybów, nie chce się rozejść, lecz czeka niecierpliwie na każdego trupa wydobytego z podziemi.

Katastrofa wydarzyła się, jak wiadomo, w szybie Maryi w Birkenbergu, sąsiadującym z Przybramem i jeden rejon górniczy z nim tworzącym. Szyb ten połączony jest krużgankami z szybami Wojciecha, Anny i Franciszka Józefa. W ten sposób wytłumaczyć sobie można, dla czego ofiarą pożaru, który wybuchł w szybie Maryi, padli także górnicy pracujący w trzech innych szybach. Nadmienić jeszcze muszę, że kopalnie przybramskie są jedne z najgłębszych na całej kuli ziemskiej, niektóre szyby mają bowiem 1200 metrów głębokości.

Tysiąc dwieście metrów! — to znaczy tyle, co cztery wieże Eiffla postawione jedna na drugiej. Pożar wybuchł w 29tej kondygnacyi szybu Maryi we wtorek w południe. Około godziny 1 po południu zawiadomiono starszego zarządzcę górniczego Gröglera, że z podziemi dano sygnał „pali się“. Grögler spuścił się natychmiast windą do szybu Maryi, ale już z głębokości 800 metrów dał sygnał, aby go wyciągnięto na górę; niemógł dotrzeć dalej, gdyż omal nie udusił się w dymie. Próbował jeszcze spuścić się do sąsiedniego szybu Franciszka Józefa, ale i ten przepełniony był dymem. Tyle tylko mógł pan Grögler skonstatować, że pali się w szybie Maryi w 29 kondygnacyi w głębokości 950 metrów.

Natychmiast rozpoczęto roboty ratunkowe. Kilku górników na ochotnika zgłosiło się z gotowością spuszczenia się do szybu Maryi, z którego już dym począł się wydobywać. Na nieszczęście jednak urwała się jedna łódka windy, którą spuszczają się górnicy w dół, i spadła w przepaść, skutkiem czego nie można było drugiej łódki utrzymać w równowadze. Nieład zapanował, wszyscy potracili głowę. W tem w odległości kilkuset kroków od otworu szybu Maryi ukazał się dym z pod ziemi. Wychodził on z otworu sąsiedniego szybu Wojciecha.

Widocznie i ten szyb przepełniony był już dymem. Okrzyk rozpaczy rozległ się z kilkuset piersi. Wtem z otworu czwartego szybu Anny wynurzyły się głowy ludzkie. Kilkudziesięciu górników pracujących w wyższych kondygnacyach zagrożonych szybów, znanemi im dobrze krużgankami uciekło do szybu Anny i wyszło na powierzchnię. Od nich dowiedziano się, że już w dziesiątej kontygnacyi szybu Maryi — a wszystkich jest trzydzieści kilka — dym jest taki, iż oddychać trudno. Grögler z czterema górnikami spuścił się jeszcze raz do szybu Franciska Józefa, ale już z ósmej kondygnacyi dał sygnał „Do góry.“ Wyciągnięto go na pół omdlałego — nie mógł dotrzeć niżej. Z magazynu przyniesiono tymczasem łódkę i przyczepiono ją do jednego końca liny w szybie Maryi, w miejsce tej łódki, która się oderwała. Maszyna zawarczała i próżną łódkę spuszczono w dół w nadziei, że w drugiej wyciągną na powierzchnię bodaj kilku górników, którzy pracowali w pobliżu otworu windy i do łódki się schronili. Po kilku minutach wyszła na wierzch łódka, ale w niej były tylko trzy kapelusze, para trzewików drewnianych i ślady mózgu ludzkiego i krwi. Widocznie ludzie, którzy się do niej skryli, zemdleli, dostawszy się między windę a ściany otworu, zostali rozmiażdżeni. O ratunku w tym szybie nie było już co myśleć, rzucono się do jedynego jeszcze szybu, z którego się nie dymiło, to jest do szybu Anny.

Ów widok pokrwawionej łódki, wyciągniętej z szybu Maryi, sprawił tak straszne wrażenie na wszystkich, że nikt nie chciał spuszczać się nawet do szybu Anny. Inżynier Stephan, kierujący robotami około tego szybu, sam już chciał wsiąść do windy, gdy wtem wystąpił młody sztygar Pesek i zawołał: „Panie inżynierze, proszę mnie spuścić.“ Jakoż wziął chustkę zamaczaną w occie, aby lepiej oddychać w zaduszе, wskoczył do łódki, przeżegnał się i dał znak, aby go w dół spuszczono. Zawarczała maszyna, bohaterski górnik zniknął w czeluściach. Spuszczano go ostrożnie, na wysokości każdej kondygnacyi czekano przez chwilę sygnału Peseka, czy dalej windę spuszczać, czy stać, czy też w górę ciągnąć. Upłynęło sześć minut, winda z Pesekiem była już w głębokości dwudziestej kondygnacyi, czekano sygnału. Wnet dzwonek, pociągnięty ręką Peseka, kazał dalej go spuszczać w dół, jeszcze głębiej, jeszcze głębiej, aż do dwudziestej siódmej kondygnacyi. Naraz zadzwonił sygnał „stać“. Zatrzymano windę — przez dwie minuty żadnego znaku — potem gwałtowny sygnał „Do góry.“

W półtorej minuty była łódka już na powierzchni a w niej oblany potem sztygar Pesek i trzech omdlałych górników, których on pozbierał na kurytarzu dwudziestej siódmej kondygnacyi. Wydobyto ich z łódki, złożono na ziemi i zaczęto cucić, Pesek zaś wskoczył ponownie do łódki, za nim jeszcze jeden górnik, spuścili się w dół i wydobyli tym razem sześciu omdlałych, trzeci raz spuścili się i uratowali życie pięciu ludziom. Towarzysz Peseka dostał zawrotu głowy i został na ziemi, ale Pesek po raz czwarty wskoczył do łódki i kazał się spuścić. Spuszczono go od razu do dwudziestej siódmej kondygnacyi, bo tak sobie życzył, aby nie tracić czasu na zatrzymywanie win-

---

6)

FOLWARK DO SPRZEDANIA

OBRAZEK

przez

Klemensa Junoszę.

(Ciąg dalszy).

Panu Michałowi zrobiło się trochę przykro, ale wnet się z tego otrząsnął.

Prosta rzecz, tamten pan ze Smolanki porobił za duże nakłady i sam gospodarował. W Marysinie będzie zupełnie co innego, nakłady z oszczędnością, z rachunkiem i folwark zaraz na sprzedaż. Co się wyda to na rachunek nowonabywcy, który co do grosza wszystko zwróci.

Dojechali szczęśliwie do stacyi, bryczka się nie rozleciała i przygody żadnej nie było.

— Bywaj zdrów, Walenty!

— Niech Pan Bóg prowadzi!

— Pilnuj-że mi wszystkiego... ja tu za parę dni przyjadę.

— Jak oka w głowie, wielmożny panie, strzedz będę.

Kiedy pociąg już ruszył, Walenty zawrócił szkapiny i jadąc ku domowi, rozmyślał.

— Jak oka w głowie — mruczał pod nosem — juźci to prawda, oka w głowie każdy pilnuje i Wojtek też pilnował, a przecież jak się w karczmie z cyganami powadził, to mu oko wybili.. i teraz z jednem tylko jest..

Pan Michał wprost z dworca do domu się udał.

Żona i córka zarzuciły go gradem zapytań.

— Jakże, nasz majątek, ładny jest?

— Tak sobie... bardzo miły.

— Czy są malownicze okolice, góry, lasy, doliny?

— W ogóle gór nie zauważyłem, dolin też niewiele... jest to raczej równina.

— A ogród?

— Pyszności! Przywiozłem wam właśnie na pokazanie trochę truskawek, skosztujcie.

— Bardzo dobre, ale w Warszawie, w owocarniach są znacznie większe i wiesz, mężu, że wcale nie drogie.

— Tak tanie jak te być nie mogą, ponieważ są z własnego ogrodu... uważasz: z własnego! Trzeba się znać na owocach. Tamte są duże, ale bez żadnego aromatu, a te prześlicznie pachną.

— Ma ojczulek słuszność, bardzo miły zapach.

— A widzisz!

— A jakże dom mieszkalny, mój mężu, bo jeżeli mamy tam lato przepędzić...

— Dom cokolwiek obniszczony, ale każę go odnowić.

— Taki duży, jak nasz? — spytała córka.

— Dziecko! nasz dom w Warszawie, to kamienica, tamten zaś jest to dworek parterowy, drewniany, z werandami i prawie w ogrodzie, bardzo poetyczny i miły.

— Pojedziemy tam jutro — rzekła pani.

— A nie, za nic. Nie pojedziecie, aż wszystko będzie gotowe. Ja się tem zajmę, głowa was o nic nie zaboli, chcę, żebyście zastały wszystko w porządku. Na stacyi będzie oczekiwał powozik.

— Jest i powozik?

— Tak jakby był.

— Nie rozumiem, mój mężu.

— Bo widzisz, on jest obecnie w reparacyi, kazałem go cokolwiek odświeżyć.

— Na co takie wydatki!

— To trudno, moja żono, gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą.

Na drugi dzień, pan Michał udał się do wekslarza i zmienił kilka listów zastawnych na gotowiznę. Było mu trochę przykro rozstawać się z owemi baraniemi skórkami, do których posiadania doszedł przez długoletnią oszczędność, pocieszał się wszelako przekonaniem, że wkładając kapitał w dobra ziemskie, nie popełnia marnotrastwa, lecz przeciwnie, lokuje pieniądze dobrze i może liczyć na umiarkowany, ale pewny procent.

Załatwiwszy się u wekslarza, puścił się na poszukiwanie powoziku, a szukał takiego, któryby był trochę używany ale mocny, elegancki i tani. Chodził od fabryki do fabryki i z podziwienia wyjść nie mógł, ile żądają za marne cztery koła i pudło! Dowiedział się zarazem, jaka jest cena porządnych zaprzęgów i liberyj, co utwierdziło go w przekonaniu, że powroźnicy i rymarze trudnią się głównie obdzieraniem obywateli ze skóry.

Rymarz z najuprzejmiejszym uśmiechem zaśpiewał za chomąta kilkadziesiąt rubli i jeszcze namawiał na kupno siodła.

— Przyda się zawsze na wsi, panie dobrodzieju — mówił, — a mam bardzo dobre, leciutkie, zgrabne, konia nigdy nie odparzy, niech pan dobrodziej raczy tylko spojrzeć, prawdziwie świńskie siodełko....

— Jakie?!

— Najlepsze, panie dobrodzieju, ze świńskiej skóry, niezdarte.

Pan Michał w życiu swoim nigdy na koniu nie siedział, ale uśmiechnęła mu się myśl, żeby spróbować, skoro się ma swoje konie i swoje terytoryum do jeżdżenia. Zaczął się tedy pilnie przypatrywać siodłu, wydało mu się ono bardzo niepraktycznem, płaskiem, gładkiem, śliskiem.

— Nie podoba mi się ta patelnia — rzekł. — Przytem twarda jest jak deska.

— Angielskie, panie dobrodzieju, najwygodniejsze, ale mogę pokazać i inne; mamy węgierskie terlice, głębokie, o widzi pan, mamy i z poduszkami.

— Aha... pokaźno pan to z poduszką. Proszę! Czemuż takie wysokie?

— Taki system, proszę pana.

— U was wszystko system, a gdzież wygoda dla passażera? I cóż to kosztuje taka maszyna z poduszkami?

— Z całym garniturem, z trenzlą, tylko siedmdziesiąt pięć rubli.

Pan Michał aż podskoczył.

— Panie, — zawołał, — u mnie lokator na pierwszem piętrze kwartalnie więcej za komorne nie płaci. Za co tyle pieniędzy, za trochę drzewa i skóry?

— Na Grzybowie u żydów dostanie pan znacznie taniej, tam mają wszelką starzyznę i tandetę. Użytek będzie niewielki a taniość znakomita.

Na obiedzie pan Michał tego dnia w domu nie był, tyle z powoźnikami i rymarzami miał kramu. Krwi sobie napsuł dosyć, nairytował się co niemiara, ale ostatecznie powozik i zaprzęgi na wieś wyprawił. Z siodła zrezygnował, a przynajmniej kupno na później odłożył, gdyż i pieniędzy mu było żal i nie mógł sobie wyobrazić, jak człowiek przyzwoity, obywatel o pokaźnej tuszy, może się ulokować na takiej śliskiej i gładkiej patelni, jak owo angielskie siodełko.

Większa trudność jeszcze była z kupnem koni, na szczęście znalazł się jakiś życzliwy przyjaciel, który na koniach się znał i panu Michałowi dopomógł; kupili dwa dość stare, ale zdrowe jeszcze pół perszerony, gniade, flegmatyczne, ale wypasione doskonale na słodzinach, bo przez ośm lat rozwoziły piwo po Warszawie z browaru. Szkapy te wyglądały dość pokaźnie i pan Michał zadowolniony był z kupna.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

dy i dawanie sygnałów. Pięć minut czekano na sygnał „W górę" — ale nadaremnie. Nie czekano już dłużej, lecz piorunem wydobyto łódkę na wierzch; w niej leżał Pesek — nieżywy. Poczęto mu nacierać skronie, piersi, ręce — lecz nadaremnie, bohaterskiemu sztygarowi nic już życia przywrócić nie mogło. Udusił się wśród zabójczych gazów. Zaniesiono go do budynku kancelaryjnego, stojącego opodal, żandarmi torowali wśród tłumów drogę żałobnej drużnie. Wtem przyrząd sygnałowy, połączony z kondygnacyami, począł dzwonić — to ludzie z pod ziemi dają znać o sobie — oni żyją jeszcze.

Sygnał pochodził z wielkiej galeryi w dwudziestej drugiej kondygnacyi; kilkudziesięciu górników schroniło się tam i przez telefon błagało o ratunek, bo krużganki i schody przepełnione dymem i zawalone trupami i omdlałymi. Lotem błyskawicy rozeszła się ta wieść wśród ludu, kilkudziesięciu górników i pompierów zgłosiło się z gotowością spuszczenia się w dół i niesienia ratunku tym biedakom. Jakoż raz po raz spuszczano ich po dwóch lub trzech do głębokości 850, potem 800 metrów tylko; wydobyli oni kilku omdlałych górników, leżących na krużganku najbliższym otworu windy, ale wnet i oni życiem swe poświęcenie przypłacać poczęli. O godzinie wpół do 1-ej w nocy wydobyto z łódki dwóch nieżywych i jednego omdlałego strażaka, którzy na ochotnika się zgłosili. Bohaterstwo, jakie teraz poczciwi górnicy przybramscy okazali, nie ma chyba w historyi ludzkości podobnego przykładu. Nie zważając na to, że tylko same trupy z podziemi wracają, zgłaszali się wciąż nowi ochotnicy na śmierć i wciąż windę w dół spuszczano, a telefon z podziemnej galeryi wciąż dzwonił; dwadzieścia jeden razy błagali żywcem pogrzebani górnicy o ratunek. Dziesięć razy spuszczono jeszcze windę w dół, z głębokości 650 metrów wydobyto jeszcze kilku omdlałych, później już tylko same trupy tych, którzy ratować chcieli. O godzinie 1ej w nocy zakazał starosta br. Weber dalszego spuszczania windy — bo więcej ludzi spuszczających się ginęło, aniżeli uratowanych wydobywano. Dwudziestu siedmiu ochotników zginęło, a uratowanych górników było tylko trzynastu. Wszystkie roboty ratunkowe wstrzymano; podjęto je rano, ale musiano ograniczyć się już tylko do wpuszczania pary wodnej do szybów, aby oczyścić je z dymu. Tych, którzy byli jeszcze w podziemiach, musiano pozostawić opiece Boga; cud chyba tylko mógłby ich ocalić, ludzka pomoc jest wręcz niemożliwa.

Z wież kościołów w Przibramie i Birkenbergu od rana do wieczora rozlega się dzwonek za umarłych a kilkudziesięciu stolarzy robi trumny dla tych, których już wydobyto i dla tych, którzy są jeszcze w podziemiach, którzy żyli może jeszcze w owej chwili, gdy trumny dla nich robiono.

List do Redakcyi.

(*Czystość języka*).

Dużo mówimy i piszemy o czystości języka, lecz do tej chwili nikt się nie zajął językiem, używanym po pracowniach rękodzielników polskich, ani językiem używanym przez szeregowych żołnierzy tak w czasie ich służby w wojsku, jak i po wysłużeniu.

Kto się chce z tym językiem zapoznać, niech wstąpi do pierwszej lepszej pracowni, a zatka uszy, aby tego obrzydliwego żargonu nie słyszeć. Czy może mamy obwiniać o to naszych rzemieślników? Broń Boże!

Nasi rzemieślnicy, to ludzie nawskróś patryotyczni, kraj i język swój kochający i gdyby ich od czasu terminowania w rzemiośle uczono używać polskich nazw, chętnieby ich używali, a uczonoby ich z całą pewnością, gdybyśmy mieli polską terminologię.

Nie będę się wdawał w wyliczanie obcych i to pokoszlawionych wyrazów, wymienię tylko kilka. Komuż nieznane zole, brandzole, aufteledry, u szewców używane; feilzegi, sztamajzy, sztyczegi, rabanki, meizle itd. u stolarzy; bezecy, sztychy, halzy, szlice, sznajgurty, brusttasie i wiele innych u krawców; sznajdkluby, feilkluby i różne rodzaje hamrów u kowali; ba, nawet bryty i cwykle u wiejskich szwaczek.

Krótko mówiąc, dokąd się tylko zwrócimy, napotkamy setki takich dziwolągów.

Kaleczenie języka przez rzemieślników mogłoby znaleźć jeszcze jakie takie tłumaczenie, lecz paskudzenie go (przepraszam za wyrażenie) przez wojakowych jest karygodne i powinno być napiętnowane. Co zniewala żołnierza, aby używał: — stać na barancioku (in Bereitschaft), chodzić na orbajt, śtruzok, kopuzdroki, siufice, lajntuchy, hozentrugi, strzelać do sisjby, zamiatać cymbrę, dać sporny koniowi, rajtować po rajtszuli, albo rozkaz: wojoki! wypucować sobie sztyfle, ale nie wiksem, tylko fetem, jutro będzie kirchparad, a na draususku śpatny witerunk, lub: tumlujcie się na siuśpicach, żebyście nie byli lectymi?

Nasz Maciek lub ruski Iwan, gdy wróci z wojska do domu, nie ma nic pilniejszego, jak cywilizować swą wieś, boć przecież on jako wojak wszystkim szku zadaje, a wyrostki podziwiają go, zazdroszczą i dziwolągi językowe od niego przejmują.

Gdyby to były wyrazy, używane przez ćwiczenia i niezbędnie potrzebne do wykształcenia żołnierza, możnaby je pominąć milczeniem, lecz są to wyrazy używane przez żołnierzy w potocznej mowie. Czy wojskowość co na tem zyskuje?

Sądzę, że zupełnie nic. Czyby zyskała, gdyby wpływano na czystość języka i żadne wyrażanie się? Myślę, że dużo, bo żołnierz doznawałby więcej poważania od ludzi inteligentnych, uczyłby się kochać co swoje, nabierałby więcej ogłady i poczucia własnej godności, a nie tej głupiej zarozumiałości, którą mu każe stawiać wyżej swą siufecę nad cywila.

Ponieważ rząd nam przychylny i żaden regulamin wojskowy nie jest przeciwny, mogliby ci, którzy najwięcej mają styczności z żołnierzami, starać się o wykorzenienie owych obrzydłych dziwolągów, a mamy dosyć światłych i inteligentnych podoficerów, sierżantów, wachmistrzów, mamy jednoroczniaków i nauczycieli, nie mówię już o wyższych, bo ci mają mniej styczności.

Trudniejsza sprawa z wykorzenieniem naleciałości obcych u naszych rzemieślników, lecz i tu dałoby się dużo zrobić.

Znałem przed kilkunastu laty czeladnika stolarskiego, Czecha. Polubiłem go, bo był dobry i inteligentny chłopak i odwiedzałem go czasem w jego pracowni. Przez ciekawość wypytywałem go o nazwy narzędzi stolarskich. Oprócz nazw niemieckich podawał mi nazwy czeskie każdego naczynia. Mój Boże! pomyślałem, toć przecież oni byli w gorszem położeniu od nas, bo i dłuższy czas pod panowaniem obcem i co do liczby nie tak liczni jak my, a do tego zmięszani z innej narodowością, a przecież potrafili swój język oczyścić.

Także wstyd dla nas, a wstyd tem większy, że dotychczas tej sprawy nie poruszaliśmy!

Wymawianie się, że cywilizacya idzie z zachodu, żeśmy się rzemiosł od sąsiadów uczyli, uniewinić nas nie potrafi. Czasby już był wziąć się do dzieła. Nie brakuje nam ludzi wpływowych, światłych i gotowych do ofiarności, a gdyby się znalazł wspaniałomyślny dobrodziej, to wdowim groszem można będzie opędzić wydatki.

Ludzie zawodowi mogliby się zająć ugrupowaniem pokrewnych rzemiosł i połączyć n. p. kowalstwo, ślusarstwo w jedną grupę; stolarstwo, snycerstwo, cieślołkę w drugą i t. d.

Za napisanie terminologii dla każdej grupy naznaczyć nagrodę. Dziennik ogłosiłby, kto się podjął opracowania jakiej grupy i do tego nadsyłanoby owe poglądy i myśli, jak to było niedawno przy układaniu elementarza.

Światli nasi rękodzielnicy byliby wielką pomocą, możeby się dało co odszukać w dawniejszych księgach. Królestwo kongresowe dostarczyłoby nam wiele nazw, tam używanych, a resztę możnaby utobić, czegoby się mogli podjąć nasi lingwiści.

Opracowane wszystkie grupy wydrukować w jednej książce ze stosowną przemową i zachętą do młodzieży rzemieślniczej.

Książeczki te rozdawać bezpłatnie pomiędzy młodzież po pracowniach, za pośrednictwem Rady szkolnej krajowej podzielić ją nauczycielom, a sądzę, że i tysiące płatnych egzemplarzy rozejdzie się między publicznością, a gdyby się zrobiło tak jak z broszurką ś. p. Frd. Skobla „O skażeniu języka polskiego", której także wydanie w lot rozchwytywano.

Być może, żeby się koszta druku, a może i nagrody wróciły.

Broszurka taka mogłaby mieć odbyt tak w Poznańskiem jak i w Królestwie polskiem.

Członek Kółka rolniczego w Kańczudze.

Kronika.

Lwów 9 czerwca.

Sankcyę cesarską otrzymała uchwała Sejmu galicyjskiego, upoważniająca Reprezentacyę powiatową w Wieliczce zaciągnąć pożyczkę w kwocie 80.000 złr. w. a.

Z Uniwersytetu. Pp. Wiktor Zbarski, koncypient Prokuratoryi skarbu, rodem z Dołhego, Aleksander Mayer, rodem z Nowej Grobli i Edward Krattler, rodem ze Lwowa, otrzymali w tutejszym Uniwersytecie stopień doktora praw.

P. Albert Agatstein, rodem z Krakowa, otrzymał na Uniwersytecie Jagiellońskim stopień doktora praw.

Wydział krajowy przeznaczył 500 złr. na rzecz rodzin dotkniętych przerażającą katastrofą w Przybramie. Kwota ta przesłaną będzie przez tamtejszego burmistrza.

Wybór uzupełniający jednego członka do Rady powiatowej w Kossowie, z grupy gmin wiejskich, rozpisany został na dzień 13 lipca rb.

Nadto rozpisano wybór uzupełniający jednego członka tej Rady, z grupy gmin miejskich, na dzień 15 lipca rb.

Henryk Sienkiewicz bawi obecnie w Karlsbadzie.

Z Tow. wzajemnych ubezpieczeń. Dyrekcya tego Towarzystwa ogłasza, iż co najmniej przez cały rok nie będzie uwzględniała podań o posady, a to z tego powodu, że wszystkie posady są zupełnie obsadzone.

Konkursa. Wydział powiatowy w Tarnobrzegu rozpisał konkurs na posadę lustratora majątków gminnych, zaś Wydział powiatowy w Rohatynie na posadę sekretarza.

Skazanie adwokata. Sąd powiatowy miejski delegowany w Tarnopolu skazał dnia 31 z. m. dra Melchiora Akselrada, adwokata tamtejszego na 14-dniowy areszt, lub grzywnę w kwocie 280 złr., za obrazę honoru dr. Landesberga i dr. Langera, również adwokatów w Tarnopolu. Rozprawa toczyła się dwa dni pod przewodnictwem sędziego p. Kuźmy.

Śluby. Związek małżeński dra Augusta Łozińskiego z panną Maryą Skwarczyńską, córką Heleny z Gołaszewskich i ś. p. Pawła, pobłogosławiony będzie 14 bm. o godz. 8 wieczorem w kościele św. Mikołaja we Lwowie.

Dnia 4 bm. pobłogosławiony został w kościele ewangielickim związek małżeński pomiędzy p. Ferdynandem Wysockim, dyrektorem urzędu loteryjnego, a panną Heleną Hubrich, córką zmarłego przed kilku laty starszego radzcy skarbu.

Dnia 7 bm. w kościele OO. Dominikanów odbył się ślub dra Kazimierza Janoty, z panną Józefą Wilkus.

Wizytacye kanoniczne. Ks. Ignacy Łobos, biskup tarnowski, zwiedzi w r. b. 29 parafij swej dyecezyi, gdzie udzielać będzie sakramentu bierzmowania, a to w następującym porządku:

Dnia 22 i 23 czerwca w Dębicy, 24 w Zawadzie, 25 w Lubzinie, 26 w Brzeźnicy, 27 w Ociece, 28 i 29 w Ropczycach, 30 w Wilkowicach, dnia 1 i 2 lipca w Górze Ropczyckiej, 3 i 4 w Czarny, 5 w Nockowy, 6 w Pstręgowy, 7 w Wielopolu, 8 i 9 w Łączkach, 10 w Mały, 11 w Brzezinach, 12 w Siedliskach Boguszy, 13 w Dobrkowie, 14 w Gumniskach Fox Dnia 15 lipca wyjedzie z Gumnisk przez Dębicę, Tarnów do Kamionki wielkiej. Dnia 16 w Kamionce wielkiej, 17 w Mystkowie, 18 w Wielogłowach, 19 w Zbyszycach, 20 w Tęgoborzy, 21 w Jakóbkowicach, dnia 22 i 23 w Ujanowicach, 24 w Kamionce małej, 26 w Męcinie, 27 w Chomranicach.

Egzamin dojrzałości w Rzeszowie. Od 30 maja do 4 czerwca b. r. odbywały się w rzeszowskiem gimnazyum ustne egzamina dojrzałości, pod przewodnictwem krajowego inspektora szkół średnich, dra Ludomiła Germana.

Do egzaminu zgłosiło się 23 uczniów publicznych, 4 eksternistów. Świadectwo dojrzałości otrzymali: Blaser Aron (z odznacz.), Batrymowicz Bogusław (ekster.), Breyer Stanisław, Chitry Freyselsfeld Antoni, Dziurzyński Antoni (z odznacz.), Gärtner Franciszek, Janik Michał, Kisiel Władysław, Koziarz Szczepan, Laufbahn Abraham (z odznacz.), Lubaszek Kazimierz, Małodobry Adam, Roman Franciszek (eks.) Schmuc Henryk, Skowroński Michał (z odznacz.), Sobieski Wacław, Słtys Jan, Stroka Aleksander, Sworzeń Emil (ekster.), Turek Wiktor (ekster.), Weinberg Gotfryd, Wyrobek Emilian. Czterem pozwolono poprawić egzamin z jednego przedmiotu po wakacyach, jednego reprobowano na rok.

Do wystawy krajowej, która odbędzie się we Lwowie w r. 1894, czynią się już teraz energiczne przygotowania. Wczoraj odbyło się w sali ratuszowej pierwsze posiedzenie komitetu organizacyjnego, na którem wybrano przewodniczącym ks. Adama Sapiehę. Na wniosek p. Ihnatowicza prezesa Tow. kupców i przemysłowców, które dało pierwszą inicyatywę do urządzenia wystawy, przeprowadzono wybór komisyi przygotowawczej. Komisya ta ma za zadanie ułożyć listę komitetu wykonawczego, który ostatecznie zajmie się urządzeniem wystawy.

„Sokół" ruski powstanie wkrótce we Lwowie, jak donosi *Diło.* Rusini dali Czechom słowo, że do roku będą mieli własnego Sokoła i zawiązali już komitet celem przeprowadzenia tej myśli. Szczęść Boże!

Z Niemirowa donoszą, że w czasie tegorocznych wielkich manewrów, cesarz mieszkać będzie w w Hruszowie, w powiecie jaworowskim, a nie w Wielkich Oczach, jak to poprzednio doniesiono. Wiadomość ta ma być oparta na oświadczeniu arcyksięcia Albrechta podczas wizytacyi załogi w Jaworowie.

Wycieczkę na Pasieki urządza w niedzielę dnia 12 b. m. towarzystwo drukarzy lwowskich „Ognisko". Zabawa urozmaiconą będzie grą w obręcze, rzucaniem piłką do celu, wyścigami i strzelaniem z flobertów. Kapela „Harmonii" będzie przygrywać, a chór stow. wykona kilka utworów, pomiędzy innemi „Pieśń drukarzy", słowa St. Rossowskiego, muzyka Urbanka. O zmroku spalone zostaną ognie sztuczne.

Znany fotograf lwowski p. Trzemeski dokonał kilka zdjęć fotograficznych ze zjazdu „Sokołów." Będzie to miła pamiątka dla uczestników zjazdu, tem więcej, że zdjęcia wypadły bardzo ładnie. Można je oglądać w kilku tutejszych wystawach sklepowych

Czesi u Rusinów. Podczas bytności swej we Lwowie, w poniedziałek rano udali się czescy „Sokoli" do cerkwi ruskiego seminaryum duchownego na mszę św., skąd zaproszeni zostali do obejrzenia samego seminaryum, a potem na ucztę do ogrodu. Oprócz gości obecni tam byli z wybitniejszych Rusinów lwowskich: pos. Barwiński, prof. Wachnianin, prof. Szuchiewicz, dr. Fedak, rektor seminaryum i inni. Chór alumnów śpiewał ruskie i czeskie pieśni. Liczne były mowy z obu stron, najciekawsze jednak że było przemówienie jednego z czeskich „Sokołów" p. Czerwenego, który między innemi powiedział: „My i wy jesteśmy zarówno nieszczęśliwi, Was w Rosyi chcą wynarodowić Moskale, w Galicyi musicie się bronić przed spolszczeniem, a nas Czechów chce wynarodowić Niemiec.."

Dywan prezydenta Carnota. U Francuzów kto chce być szanowany, musi imponować i prezentować się dobrze. Tymczasem nieraz zauważono, że p. Carnot w skromnym czarnym fraku zbyt skromnie wygląda wśród lśniących mundurów, i chwilowo myślano nawet o nadaniu prezydentowi specyalnego uniformu, zamiar jednak, w obawie karykatur, porzucono. Obecnie, aby jakoś zaradzić złemu, prezydentura zamówiła w fabryce gobelinów wielki dywan, który prezydent będzie zawsze woził z sobą i który będzie stanowił dekoracyę sali podczas wystąpień uroczystych. Gdy p. Carnot będzie przemawiał, w głębi za nim, widać będzie wspaniale wytkanego lwa, związanego kwiatowemi girlandami, z figurami Prawdy i Sprawiedliwości i innemi akcesoryami po bokach. Cały gobelin będzie miał 4 metry szerokości, a $2^1/_2$ metra wysokości.

Przybyciu cara rosyjskiego do portowego miasta niemieckiego Kilonii towarzyszyły jak największe środki ostrożności. Wielka część miasta, położona blisko portu i zamku, została przez żołnierzy i majtków zamknięta dla publiczności. Wskutek tego odbyło się przyjęcie w zamku, a nie, jak to było pierwotnie ułożone, na jachcie „Hohenzollern".

Pomnik Puszkina odsłonięty został 6 b. m. w Tyflisie na Kaukazie.

Pożary. W Strychańcach w powiecie stryjskim spłonęła gorzelnia Eliasza Ingbera, szkoda 14 000 zł. ubezpieczona w krak. Towarzystwie na 9.000 zł. — W Zamalu w powiecie śniatyńskim zgorzał młyn właściciela dóbr p. Eug. Krzysztofowicza, szkoda wynosi 10.000 zł. — W lasach rawskich ks. Sapiehy, w rewirze Mokry, zajął się las od iskry lokomotywy i spłonęło 9 morgów szpilkowej kultury. — W Przeworsku spalił się dobytek czterech gospodarzy. — W Grodnie na Litwie spaliła się cerkiew szyzmatycka. — W Krasiłowie na Wołyniu zgorzała fabryka cukru p. Emeryka Mańkowskiego. Straty wynoszą ćwierć miliona rubli, ale szczęściem fabryka była na całą tę sumę ubezpieczona.

Curiosum. Z Potoka Złotego nadesłano nam następujący afisz:

„Prosimy łaskawe państwa dziś w wieczór będzie przedstawiać przedstawienie magickie kuglarskie sztuki różne akta różne roboty, będzie się przedstawiać 8 aktów, różne roboty ciężarowe fabryka amerykańska p. Wilhelm Hędel prosi państwa, żeby państwo przyszli na przedstawienie, to będzie się zaczynać początk o godzinie $8^1/_2$".

Majówka Z Pokropiwny nam piszą: Wiele jest w kraju naszym zacnych osób, których celem życia jest praca dla dobra biednych, bez rozgłosu i bez względu na wdzięczność. Do tych śmiało można zaliczyć panie: Zinę Rafałowską i Oktawię Poradowską, dzierżawczynie dóbr Pokropiwny. Te zacne Polki nie jednemu biedakowi łzę osuszyły, każdy biedak znajdzie u nich i radę i wsparcie. Szczególnie zajmują się dziatwą szkolną i właśnie teraz miłą zgotowały jej niespodziankę dnia 6 go b. m., urządziwszy swoim kosztem majówkę. Zaraz po nabożeństwie spieszyły wesołe szeregi dziewcząt i chłopców ze sztandarkami o narodowej barwie, śpiewając, do dworu, zkąd wraz z paniami udały się do pobliskiego gaiku, gdzie ochoczo się zabawiały. Zabawami dziewcząt kierowały panie same, zabawami chłopców miejscowy nauczyciel. Po sutym podwieczorku odśpiewały dzieci kilka pieśni i udały się do szkoły odprowadzone przez pannę Zinę Poradowską.

Ponieważ w inny sposób nie mogę się odwdzięczyć tym czcigodnym Paniom, przeto w imieniu dziatwy i rodziców publicznie dziękuję im serdecznie za trudy i poniesione wydatki. Oby Bóg utrzymał te panie jak najdłużej w czerstwem zdrowiu dla dobra wieśniaków.

Fr. Czechowicz nauczyciel.

Zmarli. W Nowosiółkach zmarł dnia 5 b. m. ksiądz M. Marynowicz w 79 roku życia, a 52 roku kapłaństwa. — W Hrebenowie zmarł 7 bm. Tadeusz Gruszecki, przeżywszy lat 33. Pogrzeb odbył się dziś we czwartek

Z Kozłowa arcybiskupiego donoszą nam:

(*F. N*) Już po raz drugi od czasu objęcia zarządu tutejszej parafii łać. przez ks. E Neuburga *cum expositorio canonicali* pracowali w winnicy pańskiej OO. Misyonarze, reguły św. Alfonsa Maryi Liguorego, czyli Redemptoryści. Przed 6 laty przy objęciu parafii przez ks. Neuburga, głosili tutaj słowo Boże OO. Jezuici. Teraz wezwał do pracy na roli Pańskiej OO. Redemptorystów sam Najprzew. ks. arcybiskup Seweryn Morawski. To też pospieszyli OO. Redemptoryści z odpowiedzą na głos swojego arcypasterza. Przybyli do nas 25 maja b. r., a odjechali do dalszej stacyi misyjnej dnia 4 b. m. Ile zdziałali OO. Misyonarze na niwie Pańskiej, ile nawrócili do Pana Boga, to Najwyższemu Stwórcy wiadomo. Do św. Sakramentów przystąpiło około 3 000 osób. Ze łzą w oku żegnaliśmy przy odjeździe czcigodnych Ojców.

Ofiary. Dla biednej rodziny zamieszkałej przy ulicy Słodowej liczba 10, otrzymaliśmy od księdza N. N. ze Lwowa 2 złr.

Razem z wykazanemi w poprzednich numerach 37 złr. 60 cnt.

Przeciwko nędzy. Sędziwy generał armii zbawienia p. Booth, mimo licznego brzemienia lat, zwalcza nędzę wszelkiego rodzaju motłochu londyńskiego. W tym celu wydał książkę zatytułowaną „Przeciwko nędzy", w której za główną przyczynę panującej nędzy uważa niski poziom moralności, panującej wśród sfery biedaków, pozbawionych po większej części zupełnie jakichkolwiekbądź wiadomości zasad chrześciańskich, a oprócz tego systematycznie ogłupianych przez nieznany nigdzie w Europie, prócz Anglii, — rodzaj prasy rewolwerowej, znanej na bruku londyńskim pod nazwą *Loangsung.* Kto wydaje te świstki, gdzie się one drukują i kto je zasila swem piórem, jestto tajemnica, którą niełatwo zbadać. Tyle tylko jest wiadomem, że codziennie o zmroku na ulicach Londynu pojawiają się roznosiciele tych pism i wykrzykując głośno: „wielka zbrodnia", „nadzwyczajna kradzież", „stracenie Wiliama Pinksa", lub „zamach na wolność obywatelską" zachęcają do kupna publiczność. Przystępna cena 1 penny umożliwia każdemu nieledwie nędzarzowi zaopatrzyć się choć w jeden egzemplarz podobnego pism dla. Nie mając mieszkania, nocując pod arkadami mostów, podsieniami bram, lub wreszcie gdzieś w zaułkach na bruku, lub na środku ulicy, opiera się on plecami o słup latarni gazowej i drżąc nieraz z zimna, z uwagą, godną lepszej sprawy, odczytuje od początku do końca obrzydliwe to pismo. I cóż tam za pokarm duchowy znajduje? Na pierwszej stronicy grubemi czcionkami wydrukowany jest opis jakiej znacznej kradzieży lub głośnego morderstwa. Przestępca tam zawsze, jeśli uszedł, otoczony jest aureolą bohaterstwa, jeśli zaś został ujęty — w takim razie przed czytelnikami maluje się obraz męczennika. Zbrodnia, przestępstwo, opisane są z wszelkiemi szczegółami, rozstrząsane wszechstronnie, badane wyczerpująco; autorzy tych sprawozdań zastanawiają się, dlaczego dane przestępstwo udało się lub zrobiło fiasco, jak należy postępować, by utrudnić śledztwo sądowo-policyjne, ściganie itp. Jednem słowem *Loangsangs* są to istne podręczniki „dla złodziei i zabójców.

Dalej spotykamy tam drukowane rozmaite katechizmy i wyznania wiary", jak np. złodzieja, żebraka, pijaka, nędzarza, kandydata do przytułku dla biednych itp. Katechizmy te cieszą się szczególnie wielką popularnością i wziętością pomiędzy czytelnikami. Nie wiedzą oni nieraz kto ich stworzył, jakiego są wyznania, jakiej religii, jakie są ich obowiązki względem Boga i ludzi, nie znają zasad żadnej moralności, ale katechizmy, drukowane w *Loangsangs* umieją wszystkie prawie na pamięć. A dlaczego? Oto ponieważ rady i wskazówki, zawarte w nich, we wszystkiem odpowiadają i schlebiają niskim instynktom tych nieszczęśliwych. Przegląd spraw wewnętrznych zabiera po katechizmach i wyznaniach wiary miejsce następujące. „Na jakie przynajmniej tysiąc egzemplarzy — mówi Booth — ani jednego nie spotkałem artykułu, któryby był napisany z sensem i mógł świadczyć, że pisał go Anglik, szczerze pragnący szczęścia swej rodzinnej ziemi. Oprócz wymysłów i przekleństw na państwo, rząd, rodzinę królewską, parlament, izbę lordów, od czytania których aż oczy bolą, nic tam znaleźć rozsądnego nie mogłem Na sto artykułów, w dziewięćdziesięciu autorzy dopominają się obniżenia cen wódki, usunięcia robotników zamiejscowych itp., w dziesięciu zaledwie można spotkać napomknienia, że nieźle byłoby, gdyby chleb i mięso staniało". Ostatnia stronica owych pisemek, gdzie zwykle mieszczą się ogłoszenia, poświęcona jest w całości pornografii. „Gdy się pomyśli, że taką strawę duchową spożywa codziennie motłoch londyński, dreszcz oburzenia musi wtedy każdego przejąć; ale przytem przyznać musi, że zamachy te, dzięki chyba tylko dziwnemu zrządzeniu Opatrzności, nie wywołały dotąd ekscesów, któreby nawet zatrwożyły ich moralnych sprawców".

Ostrzega dalej Booth przed zbytecznym optymizmem pod tym względem i mówi, że jeśli samo społeczeństwo nie przedsięweźmie odpowiednich środków zaradczych, grozi mu wtenczas wielkie niebezpieczeństwo, tem większe, że trudno oznaczyć, kiedy dzikie namiętności, podsycane codziennie przez *Loangsangs'y*, zapalą się czerwonym płomieniem. Za najdzielniejszy środek walki z tem, uważa Booth założenie kilku lub kilkunastu pisemek ludowych w Londynie, któreby były drukowane na sposób owych osławionych, a siejących rozpustę i zarazę pismideł, któreby używały, jak one, gwary motłochu, pilnie strzegąc kierunku ściśle moralnego i religijno-chrześciańskiego, aby były one rozdawane darmo w najbiedniejszych okolicach miasta. „Lecz aby ten projekt przeprowadzić, potrzebne są na to fundusze, których niestety — mówi Booth — ja nie posiadam, odwołuję się zatem do uczciwej części publiczności

---

1)

Z WYCIECZKI NA POŁUDNIE.

— Więc pan w Genui miał czas i ochotę spędzić jeden jedyny ów wieczór w teatrze? — spytałem.

— Ha, trudno — odparł nawprost mnie siedzący jegomość w szarym garniturze, wełnianej angielskiej koszuli i czerwonym krawacie — przyzwyczajenie wzięło górę. Zresztą, przyznać trzeba, śpiewano nieźle, o wcale nieźle..

— „Cavallerię," nieprawdaż?

— Naturalnie „Cavallerię"; kroku nie można dziś zrobić we Włoszech, aby się nie natknąć na Mascagniego.

— To tak potrosze wszędzie. U nas we Lwowie „Cavalleria" nie schodzi z afisza, a u państwa w Wiedniu „Amico Fritz".

— Ach, nie mów mi pan nic o „Fritz'u!"... Wprowadził go dyrektor Jahn licho wie po co na scenę opery...

— Rozumie się, jako nowość sensacyjną.

— Gdzieżby tam; dla tego, aby przerwać przedstawienia mojej opery... mojej, niemojej... właściwie opery ostatniej Straussa.

— A!... „Ritter Passman?"

— Tak, właśnie. Moje... libretto.

Wiedziałem z kim mam do czynienia. Przygodnym moim towarzyszem podróży był Doczy.

Jechał wypocząć do Monte-Carlo. Dla czego do Monte-Carlo? Dla ruletki może? Nie gra. „Gdybym był jeszcze marnym żydziakiem, kręcącym się po ulicach Wiednia ze skrzynką z groszowemi towarami, może pojechałbym gdzieindziej — mówił z wyborną szczerością, nie bez odcienia właściwej Heinemu, Börnemu, Nordau'owi, Hevesi'emu i... Doczy'emu *Selbstironie* — ale dziś... tak się jakoś przywykło do komfortu, że bez wygód nieodzownych nie pojmuję żadnej zgoła *partie de plaisir*".

A no, tak. Dziennikarz pracujący jeszcze przed kilkunastu laty w zaułkach węgierskich pism drugo- i trzeciorzędnych wybił się na osobistość znaną już dziś w najszerszych kołach literackich Wiednia. Od czasu do czasu już tylko „raczy" autor „Pocałunku" rzucić z łaski (i za drogie pieniądze) fejleton któremu z pism wiedeńskich niemieckich. A nawet dziś już pół na pół jest tylko dziennikarzem publicystą Pisze w wolnych chwilach utwory dramatyczne, a w chwilach jeszcze wolniejszych zabawia się w — męża stanu. Gdy go zaś jedno zajęcie i drugie przypuszczalnie znuży, narzuca szary garnitur, wdziewa angielską koszulę flanelową, bierze w rękę elegancki z żółtej skóry kuferek podróżny, cygara co najlepsze do cygarnicy, bilety wolnej jazdy w kieszeń, zagłębia się w poduszki przedziału pierwszej klasy kuryerskiego pociągu i zasnąwszy pod Wiedniem, budzi się w Weronie. Przeciera oczy, wodą kolońską odświeża czoło, przesiada się do innego pociągu i wieczorem dnia tegoż słucha „Cavallerii" w genueńskiej Politeamie.

Przyjemny bardzo *causeur*, dowcipny, uprzejmy dla odwołujących się do jego rady i ewentualnie stosunków. Naturalnie, w rozmowie na szersze tematy krępuje go nieco — bilet wizytowy, brzmiący dosłownie: *Louis de Doczy. Conseiller au Ministère, Imp. et R. des affaires étrangères.* W tych warunkach: *on n'est jamais étranger aux affaires de... son Ministère* I słusznie. Szkoda tylko, że Bismark ma w Doczym tak gorącego zwolennika, a cesarz Wilhelm tak ostrego krytyka. O „wielkiem sercu" Bismarka mówiliśmy dużo, ale, niestety, z punktu widzenia wielce różnego.

Była to też i jedyna chmurka na horyzoncie naszej rozmowy, chmurka nie licująca tak bardzo z dnia przedziwną jasnością, z blaskami zalewającemi Rivierę całą, defilującą jak panorama przed oknami naszego wagonu, z morzem niebieskiem, miejscami aż sino ciemnem, miejscami przejrzysto-szmaragdowem, miejscami oślepiająco błyszczącem.

Raz po raz stawały nam w oczach wzgórza mgliste od upału dnia, szaro-zielone od gajów oliwnych; to znowu poszarpane w malownicze załamy skały, przez które tunelem przebijał się pociąg; to znowu doliny zatrząśnięte willami, domkami, ogrodami; to znowu jakieś pałacyki całe w bukiecie palm i cyprysów; to znowu sady drzew pomarańczowych i cytrynowych.

Czasem pociąg zataczał szerokie koło wzdłuż morskiego wybrzeża i wtedy rozwijała się przed nami Riviera.. Czasem wypadłszy z tunelu pędził tuż, tuż u samych fal morskich, pieniących się na żwirowatych stokach skał; wtedy woda, rozpylona na deszcz biały, bryzgała szerokim wachlarzem w drzwiczki naszego przedziału.

Riviera w tej porze roku piękniejsza, niż kiedy: kurz, wzbijający się po niej tumanami, nie zdążył jeszcze grubą, szarą warstwą pokryć świeżej wiosennej zieloności. To też w Bordigherze, z palm swoich najsłynniejszej, krajobraz jak świeże malowidło, cały w odblaskach aż razi w oczy.

Na któréjś stacyi, na bufecie, kosze mandarynek, rwanych wprost z drzewa z całemi, świeżemi liśćmi, pokrytemi gałęziami. Gałąź z kilku owocami ślicznie wygląda, aż obrywać jej szkoda.

Ruch ogromny; od San Remo na stacyach i w wagonach tłok formalny; to mieszkańcy włoskiej Riviery wędrują tam i z powrotem, do Nizzy zwłaszcza i Monte-Carlo, na stronę francuzką.

W Ventimiglii granica. W sali rewizyjnej istna wieża babel, a język angielski przeważa gdzie bądź nastawić ucho. Wre i kipi na tym wielkim, słynnym deptaku europejskiego, ba, wszechświatowego *beaumonde'u.* Przy kasie kolejowej tłok; wala się złoto i srebro, dając przedsmak sali gry w Monte Carlo.

A do Monte-Carlo cóż za charakterystyczne jedzie towarzystwo! Eleganccy młodzieńcy, poważne damy, jacyś podtatusiali ichmoście, raz sprawiający wrażenie bankierów, to znów arystokratów, to znowuż dymisyonowanych jenerałów. Wszystko to wypływa na peron dworca, tuż pod wielką, wysoką, blado-żółtą, jasną od słońca ścianę, podtrzymującą tarasy słynnego kasyna p. Blanc'a.

Pod tą wielką, żółtą ścianą, gdzie u wierzchu, pod okalającą przybytek rulety balustradą zwieszają się pęki magnolij, wyginają się agawy kolczaste i kaktusy, dziwaczne wachlarze palm i jakieś niezwykłe łodygi roślin egzotycznych, pod tą wielką ścianą, po nad którą hen, tam w górze wystrzelają ku niebu dwie dziwaczne wieże kasyna, na peronie stacji, tuż opodal naszego wagonu stał pan jakiś, siwy, lat może sześćdziesięciu, o wykwintnem ubraniu i postaci arystokratycznej.

Przed chwilą właśnie podawał ramię damie młodej, przystojnej bardzo, ubranej z wielkim gustem i dystynkcyą. Dama wsiadła do przedziału pierwszej klasy. Stary pan pożegnał ją uściskiem ręki i stanął przy drzwiczkach wagonu. Nie mówili do siebie ani słowa. Obserwowałem pilnie starego pana; typ to mi się wydał wielkoświatowca, przez którego życie przejść musiały nie dla każdego dostępne chłody, burze i spieki. Stał zapatrzony w ziemię z dziwnie smutnym na twarzy wyrazem. Widocznie dama odjeżdżała gdzieś daleko — do Paryża może, bo pociąg nasz był właśnie „ekspresem", idącym na Paryż prostą drogą przez Marsylię; on zostawał. Dlaczego? Po co? Czemu ona odjeżdżała, a on oczywiście jechać z nią nie mógł?

Damy dojrzeć nie mogłem. Ale gdy pierwszy sygnał odjazdu dano, staremu panu łzy zakręciły się w oczach, dziwne łzy w oczach, od długiego i burzliwego życia zamglonych, dziwne łzy pod brwiami siwemi, u powiek zaczerwienionych... Znak tylko zrobił ręką w stronę wagonu, a potem, gdy już pociąg ruszył, machnął nią, ale to z tak przerażająco rozpaczliwym gestem, jakby istotnie jakąś ostatnią kartę życia załamywał.

Zwolna odchodził pociąg.

Stary pan cofnął się kroków kilka, na linię rels pobliskich, podniósł kamyk z ziemi i raz jeszcze dawszy znak ręką, w stronę damy z przedziału wagonu ku niemu wychylonej, rzucił ów kamyk przed siebie, w jej stronę...

Twarz jego smutna, bezgranicznie smutna twarz, stoi mi dotąd przed oczami; nie zapomnę jej rychło.

Co znaczyła ta mimika? co znaczyło to rzucenie kamieniem i ów gest ręką, jakby mówiący: „teraz wszystko skończone", lub „va banque!"

(Ciąg dalszy nastąpi).

żądaniem poparcia tej sprawy". Spodziewać się należy, że głos p. Bootka nie będzie głosem wołającego na puszczy i że na wezwanie jego pospieszą liczne składki, by walkę z nędzą moralną można było skutecznie prowadzić.

Temperatura. Termometr + 14° R. Barometr, 761°. Idzie w górę. Pochmurno, z małemi przerwami padał deszcz.

Polityka w teatrze. Artyści paryskiego teatru *Comédie française* mieli dać w niemieckim teatrze w Pradze jedno przedstawienie na cele dobroczynne. Zamiar ten jednak tak mocno oburzył Czechów, iż zapowiedzieli, że w razie gdy teatr francuski rzeczywiście zgodzi się dać jedno przedstawienie w pragskim niemieckim teatrze, to oni nie pojadą wcale na zjazd francuskich gimnastyków do Nancy. Artyści francuscy zwrócili się więc z zapytaniem co mają robić do swego dyrektora p. Claretie w Paryżu, a on telegraficznie zakazał im jechać do Pragi i grać w niemieckim teatrze.

Zapowiedziane więc na dzień 5 b. m. przedstawienie trupy francuskiej nie przyszło do skutku. Dyrektor teatru niemieckiego w Pradze p. Camillo Neumann za złamanie kontraktu chciał pociągnąć francuskie towarzystwo do odpowiedzialności, zażądać od niego zwrotu kosztów i położyć areszt na jego bagaże, i w tym celu wysłał telegram do władz w Bernie, gdzie właśnie wówczas trupa francuska bawiła, ale w skutek burzy telegram się spóźnił, a tymczasem artyści francuscy z Berna już byli wyjechali i areszt na ich rzeczy i dochody położyć nie można było.

Szczyt przypodobania się. Kawaler zaleca się do panny Maryanny.

— O, panno Maryanno — wzdycha — ja kocham pannę tak okrutnie, ale to tak okrutnie! Dla przypodobania się pannie dałbym sobie nos uciąć.

Teatr. Dziś we czwartek (9 czerwca) w teatrze letnim o godzinie wpół do 8 wieczorem: po raz trzeci „Protekcya dam", komedya w 3 aktach Zygmunta Przybylskiego. — Jutro w piątek (10 bm) „Otello", tragedya w 5 aktach W. Szekspira, przekład J. Paszkowskiego. Siódmy gościnny występ p. Józefa Kotarbińskiego, reżysera i artysty teatrów warszawskich.

Literatura i Sztuka.

* **Jean Dhasp**, par Charles Edmond (Paris, 1892). Ostatnia powieść Chojeckiego należy do rodzaju książek, które Francuzi nazywają: „Livres a sensation". Dzieje się ona we Francyi w świecie międzynarodowej, będącej właściwie bezimienną, której ojczyzną są bulwary paryskie, Riviera, oraz modne miejsca kąpielowe.

Książki te mają tę właściwość, że je czyta cały świat; jest to bowiem dla całego świata.

„Jan Dhasp" zdobył sobie poczytność wyjątkowo wielką, co wypływa stąd, że tryskają zeń aż dwa źródła „sensacyjności", podczas gdy podobne mu powieści poprzestają zwykle na jednem.

Pierwszą sensacyjnością jest osoba głównego bohatera, w którym świat poznaje, czy też domyśla się Jana Ortha.

Sensacyjność drugą stanowi pomysł wyrafinowanej zemsty, jaką z pomocą grobu wywiera zdradzony mąż na swej żonie wiarołomnej.

W pomyśle tym tkwi w samej rzeczy nadzwyczajna kryminalistyczno-tragiczna zgroza, która potrafi najlepsze nawet nerwy. A choć bohaterowi, tak okrutnie a na zimno zemstę swą obmyślającemu, trudno prawo do tytułu bohatera sympatycznego, niejeden umysł namiętny pewnie go z winy tej rozgrzeszy.

Trudno pono będzie rozgrzeszyć go z łatwowierności, jaką okazał, żeniąc się z nieznaną sobie, a jednak do poznania nie trudną, awanturnicą. Prawda, że Georgina była najpiękniejszą z pięknych Amerykanek, jakie pełnią zdrowia i urody elektryzują starą, przeżytą Europę; prawda, że z powabami syreny łączyła syreni również talent uśpienia serc i umysłów, prawda wreszcie, że ją otaczająca tajemniczość, przysłaniała ją jakby złocistym obłokiem poetyczności, — ale wszystkie te przymioty, aż nadto wystarczające dla zwykłej, łakomej ryby, nie powinny były tak całkowicie, a zwłaszcza tak łatwo, uwieść Jana Dhaspa.

Czterdziestokilkoletni książę, obyty z brudną flirtu i dobrze znający komedyę światową, [illegible] awanturniczy żywot dobrowolnego wygnańca, zbyt prędko pozwala opętać się i spętać jednej z tych syren, jakie w Paryżu, Monaco, Nizzy i t. p. do osobliwości nie należą.

„Jan Dhasp", członek rodziny panującej, najwyższy arystokrata ducha i serca, a wreszcie człowiek, który [illegible] gardzi nie tylko świetnością dworskiego życia, ale blaskiem całej cywilizacyi europejskiej, poślubia — bez namysłu prawie — *a l'improviste*, kobietę, [illegible] — kobietę, której jedynym ideałem jest zrobienie „kariery" i która wreszcie, co najważniejsze, wcale go nie kocha...

Jeżeli dodamy do tego, że serce jej posiadł przed ślubem jeszcze [illegible] zbliżenia się kto inny i że tym innym jest przyrodni brat Dhaspa, [illegible] zawiązek dramatu, a także i łatwo do odgadnięcia jego rozwiązanie.

Taka wszakże intryga nie należy ani do nowych, ani do najbardziej udanych [illegible] „a sensation" [illegible] wystarczyć nie mogła. Doświadczony w tym względzie autor zrozumiał to i [illegible] zakończenie.

Dhasp, odkrywszy w kilka miesięcy po ślubie, że jest zdradzony, truje się, ale truje się w ten sposób, że sąd, który zejdzie na miejsce wypadku, musi za sprawców jego śmierci uznać [illegible] kochanka.

Rachunek nie zawiódł mściwego człowieka. Sąd, przy rewizyi w pałacu znajduje u młodej wdowy [illegible] skrytkę, [illegible] która zbawiła życia Dhaspa. Znajduje też dowody, stwierdzające [illegible] bratem, [illegible] odkrywszy [illegible] i [illegible] przy intercyzie.

Wszystkie te dowody, nie wyłączając podłożonej [illegible] przygotował sam Dhasp przed śmiercią...

W kilka miesięcy po samobójstwie nieszczęśliwego człowieka, spadły pod nożem gilotyny głowy: jego żony i występnego brata.

Śmiało i zuchwale niemal pomyślane to rozwiązanie wykonał autor w sposób ujawniający rękę biegłego twórcy powieściowych i scenicznych intryg.

Najpierw, co do pobudek takiego, a nie innego sposobu zemsty, Dhasp, który dobrowolnie wyzuł się ze świetnych koligacyj i mitrę podeptał, zapomniał jednak wyrwać książęcości z serca swego, gdzie najsilniej zapuściła ona korzenie. W chwili przełomowej, — gdy stanął oko w oko ze zbrodnią, jaką na honorze jego spełniono — książęcość ta obudziła się w nim z całą pierwotną potęgą. Najłatwiej było zabić zdrajców, nie wchodząc nawet w zatarg z pobłażliwym na takie zabójstwa kodeksem Napoleona, — książęta panujący nie zabijają jednak, lecz — każą zabijać...

Co do tego, w jaki sposób prawda stała się wiadomą światu, skoro sprawca intrygi i obie jej ofiary legły w grobie, poradził sobie autor łatwo, każąc Dhaspowi przed śmiercią napisać do krewnego list, który będzie mu wolno odczytać dopiero w rok po otrzymaniu. W liście mieściło się wyjawienie wszystkiego.

Powieść zbudowana jest doskonale; charaktery, choć przestarzałe nieco, nakreślone śmiało i wyraźnie; tok opowiadania po parysku, zajmujący i błyskotliwy.

„Jan Dhasp" wystarczyłby do zdobycia sławy powieściopisarskiej każdemu beletryście — byle nie Edmundowi Chojeckiemu. Dla niego listkiem wawrzynu on nie będzie.

* **Małego światka** wybornego pisemka dla dzieci, ozdobionego ładnemi ilustracyami, wyszedł numer 17 z 1 czerwca i zawiera jak zawsze szereg zajmujących i pożytecznych artykulików. Oto ich tytuły: W piętnastym wieku, powieść historyczna przez Miecz. Śleczkowską. Wianek nadwiślańskich podań, opowiedziała Janina Sedlaczkówna. Kot i myszka, bajka. Kilka chwil z życia St. Jachowicza. Na wiejskim podwórku, nie-bajka. O Piaście, wierszyk, napisała Jadwiga Z. Tabakiera pana wojewody, gawęda przez Bolesławicza. Zabawki naukowe Garderoba kalek. Zagadki. Rozwiązanie zagadek. Składka na kolonie wakacyjne. Listy redakcji. Ogłoszenie. W dodatku: „Wzory mód".

Rozmaitości.

Spadkobiercy Garibaldiego wytoczyli proces rządowi włoskiemu. Przed kilku dniami doszło do powszechnej wiadomości, iż skarb włoski nabył od spadkobierców Garibaldiego, wyspę Caprerę za 300,000 lirów. Zgodzili się oni na tę sprzedaż dopiero wówczas, gdy zagrożono im wywłaszczeniem, albowiem minister marynarki uważał nabycie wyspy za nieodzowne ze względu na roboty regulacyjne. Suma, za jaką wyspa została kupioną, złożona jest w kasie depozytowo-pożyczkowej w Rzymie. Obecnie jednakże spadkobiercy Garibaldiego utrzymują, iż zostali pokrzywdzeni, albowiem Caprera posiada dwa razy większą wartość. Usiłują tedy cofnąć akt sprzedaży i wytoczyli proces, który rozstrzygać będzie sąd w Tempio, jego jurysdykcyi bowiem podlega Caprera.

Petycye, podawane monarchom, stanowią niekiedy perły bezwiednego humoru.

Cesarz Wilhelm I, gdy był w dobrym humorze (a często mu się to zdarzało) przeglądał pliki prośb, czyniąc na nich własnoręczne adnotacye. Oto kilka próbek takich petycyj. Podaje je „Deutsches Soldatenhort."

„W marszach przeciwko Francuzom zdobyłem niewiele wprawdzie chorągwi, lecz za to mnóstwo dolegliwości, za które mam nadzieję, iż mnie Wasza cesarska Mość odszkoduje" — pisze jeden z petentów. Inny znowu, stylem bombastycznym, korzystając z uroczystości złotego wesela cesarza, taką wnosi do niego prośbę: „Ja, proch marny, potrzebujący Waszej miłości, rzucam się do stóp miłościwego tronu Waszej cesarskiej Mości i błagam Ją, aby w tym dniu, którego świat jeszcze nie widział i o którym dzieci naszych dzieci wspominać będą z rozrzewnieniem, abyś w dniu tym zechciał przywrócić mi wolność, którą z własnej winy utraciłem i której teraz bardzo pożądam i nigdy już na więzienie nie zasłużę." — „Bolesną jest mi wprawdzie myśl — pisze trzeci — być utrzymywany na koszt państwa, jak jaki pasożyt, ale opłakany mój stan zmusza mnie do wniesienia prośby do Waszej cesarskiej Mości, aby raczyła wyznaczyć mi pensyę, bo przecież odbyłem dwie kampanie." Zręcznie osłonięta jest prośba o brzęczącą monetę pewnego czeladnika siodlarskiego, Piotra L. „Wyczekuję odpowiedzi Waszej cesarskiej Mości z niecierpliwością i proszę dla mojej rodziny o portret jej, odbity na metalu w pięciu egzemplarzach, jako dla dobrego patryoty i obrońcy ojczyzny, Piotra L." — „Tak — woła inny petent — gdy Wasza cesarska Mość co chce, to zawsze może; słowo mojego czcigodnego monarchy kruszy żelazo i przenosi góry, i dlaczegóż Wasza cesarska Mość nie miałaby powiedzieć komu należy, żeby mi wypłacili sto marek, bo inaczej z głodu umrę." — „Podczas nocy bezsennych — pisze jakiś pomysłowy żebrak — widzę często Waszą cesarską Mość na polu bitwy, walczę dzielnie u Jej boku, a po odniesionem zwycięstwie otrzymuję z rąk Jej zasłużoną nagrodę. Ośmiela mnie to poniekąd do wniesienia prośby do Waszej cesarskiej Mości, aby raczyła przesłać mi, co łaska — może jakie kilkadziesiąt mareczek." — „W kampanii 1866 roku straciłem władzę w nodze, a przytem od wystrzału armatniego ogłuchłem na prawe ucho, więc zasługuję na pamięć Waszej cesarskiej Mości" — pisze jakiś naiwny kłamca. — „Za szczęśliwy i zaszczytny zbieg okoliczności i dobry prognostyk uważam sobie — przekłada inny — iż, zupełnie tak samo, jak Wasza cesarska Mość, urodziłem się moim rodzicom 22 marca i że właśnie dano mi na chrzcie imię Wilhelm, a przytem mam także żonę Augustę (z domu Jänicke".

Sennora Martinez de Roda. Regentce hiszpańskiej przedstawiła się w tych dniach nowa gwiazda, która się ukazała niedawno na horyzoncie Madrytu. Jest nią wdowa byłego prezydenta i dyktatora republiki Gwatemali, Barriosa, po jego śmierci poślubiona hiszpańskiemu grandowi Martinez de Roda. Pięknej kobiecie, która odziedziczyła po małżonku spadek 50 milionów, nie brakło na konkurentach; wybrała z całego ich zastępu młodego hidalga; ślub odbył się w New-Yorku; nowożeńcy przybyli niedawno do Hiszpanii, gdzie nowa grandesa budzi zainteresowanie nietylko dzięki swej urodzie, ale i niezwykłej przeszłości, którą zamierza podobno opisać w pamiętnikach. Była małżonka tyrana gwatemalskiego mogłaby z własnych dziejów utworzyć sensacyjny dramat. Jako młodziutka dziewczyna wpadła w oko Barriosowi, który oświadczył się o jej rękę, lecz panna i ojciec dali mu stanowczą odmowę. Wówczas dyktator kazał ojca wtrącić do więzienia i codziennie dawać mu po 25 kijów. Córka, bojąc się o życie ojca, zdecydowała się poślubić barbarzyńcę. W ciągu kilkoletniego z nim pożycia usiłowała wszelkiemi sposobami poskramiać wybuchy jego okrucieństwa; nie zdołała jednak przeszkodzić spaleniu na stosie jakiegoś dziennikarza, który ośmielił się twierdzić, że Gwatemala potrzebuje „oświaty"; dyktator, obecny przy egzekucyi, naigrawał się z ofiary, mówiąc, że jest pierwszą pochodnią przyszłej oświaty. Dwie damy, które odmówiły zaproszeniu na bal prezydenta, dowodząc, że wolałyby być w stajni, niż w jego salonie, kazał związać i przez tydzień trzymał w brudnej stajni. Wszystkich jego wybryków niepodobnaby spisać na wołowej skórze. Pani Martinez ze związku z tym potworem miała siedmioro dzieci, w których podobno przejawiają się dzikie instynkta Barriosa. Biedny ojczym!

Część ekonomiczna.

§ **Na wtorkowy targ na nierogaciznę** w Wiedniu przypędzono 1100 sztuk galicyjskiej nierogacizny i płacono od 40—42 zł., za towar najlepszy 43 do 44 zł. za 100 kilogr. żywej wagi.

§ **Z wiedeńskiego targu na bydło.** Na poniedziałkowy targ przypędzono bydła rzeźnego 4016 sztuk opasowego i 346 sztuk chudego. Razem 4362 sztuk. Pomiędzy temi przypędzono z Galicyi 971 opasowych i 12 sztuk chudych z Bukowiny 161 sztuk bydła opasowego. Ogółem przypędzono o 201 sztuk mniej, niż zeszłego tygodnia, a z samej Galicyi 206 mniej. Nie sprzedano 86 sztuk. Popyt był słaby. Ceny spadły przeciętnie o 2 zł.

Płacono: galicyjsko-bukowińskie woły opasowe po 53·— do 56.—, za towar przedni po 57·— do 60·—, wyjątkowo po 61·— do —·—; węgierskie woły opasowe po 53·— do 56·—, za towar przedni po 57·— do 61·00, wyjątkowo po 62·00 do —·—; z innych krajów koronnych woły opasowe po 53·— do 57·—, za towar przedni 58·— do 62·—, wyjątkowo po 62·50. do 63·50; krowy po 24·00 do 32·—; stadniki po 25·00 do 35·50; bawoły po 24·00 do 31·— zł., za 100 kilogr. żywej wagi. Bydło chude od 37·00 do 86 zł. za sztukę.

Wiedeń 7 czerwca.

(*Z*) Kontrmina, po długiej bezczynności, wystąpiła dziś do akcyi i odniosła sukces. Na rękę bardzo były dla niej odwiedziny rosyjskiego wielkiego księcia Konstantego w Nancy, które sparaliżowały dobre wrażenie, jakie spotkanie się cara z cesarzem Wilhelmem na giełdy wywrzeć musiało. Osobliwie berlińska giełda była bardzo zniechęcona temi odwiedzinami i dla tego wypadek takiej doniosłości, jak wizyta cara w Kilonii, nietylko nie przyczynił się do wzmocnienia tendencyi berlińskiego targu, lecz przeciwnie tendencya ta osłabiła się dziś znacznie, co odbiło się także na naszym targu znacznemi sprzedażami, uskuteczninanemi na rachunek Berlina. W zły humor wprawiło także wszystkie giełdy europejskie doniesienie londyńskiego *Timesa*, że konwersya długów tureckich napotyka na wielkie trudności. Wobec tylu niepomyślnych okoliczności spadły dziś kursa wszystkich papierów — złoto zaś podrożało.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 321·75, węgierskie 364·—, Anglobanki 156·—, Uniony 249·—, Bankvereiny 116·90 Länderbanki 218·40, Ludwiki 214·80, Czerniowieckie 243·75, Renta papierowa 95·85, srebrna 95·45, austryacka złota 113·15 papierowa 100·90, węgierska złota 110·20, papierowa 100·65, dukat 5·63. 20-frankówka 9·49¼, marki 11·79—, ruble 1·25¼ zł.

Ostatnie wiadomości.

Paryzki *Figaro* wysłał na złote wesele królewskiej pary duńskiej swego współpracownika p. Hugues Le Roux do Kopenhagi. P. Le Roux w sprawozdaniach swoich z pobytu w Kopenhadze stara się podać jak najwięcej szczegółów, odnoszących się do cara, wiedząc, że Francuzów naj więcej dzisiaj to zajmie.

„Pragnienie moje — pisze p. Le Roux — zobaczyć cara wszech Rosyi było tak wielkie, jak w dzieciństwie pragnienie zobaczenia szczytów Himalajskich gór. On bowiem jest dziś dla nas także niebotyczną postacią, która nas cieniem swoim zakrywa. Wyobrażałem sobie, że car jest istotą, którą Arabowie nazywają: „Mulej Saa", to znaczy panem godzin, tymczasem nie zawsze może car zapanować nad godziną, bo jak się sam przekonałem, przyjechał do Kopenhagi o 9 rano zamiast o 2 po południu".

W opisie swym podnosi p. Le Roux herkuliczną siłę władzcy Rosyi. Dowody tej siły złożył car w czasie teraźniejszego pobytu w Kopenhadze. Na podwórze zamku królewskiego przywieziono wspaniałą karetę, dar jubileuszowy przemysłowców Kopenhagi dla króla Chrystyana i jego żony. Cała rodzina królewska wyszła na podwórze oglądać to cacko. Król Chrystyan, królowa Ludwika i carowa zajęli miejsce w karecie, a car ujął ręką dyszel, przy którym oczywiście nie było koni, i kłusem obwoził karetę z trojgiem ludzi po podwórzu.

W końcu opowiada p. Le Roux, że car ma być bardzo dobrym człowiekiem, pełnym najlepszych chęci świadczenia ludziom dobrodziejstw. O tem dowiedział się p. Le Roux, jak zapewnia, od ogrodnika królewskiego w Fredensborgu.

Być może że ogrodnicy w Danii mają sposobność korzystać z dobrodziejstw cara, jednakże narody całe, zostające pod jego berłem, nawet owych dobrych chęci nie widzą. Stare przysłowie mówi, że „dobremi chęciami piekło jest wybrukowane", to też jeżeli nie są poparte czynami nie wiele zaważą na szali. Czyż mało sposobności ma człowiek, posiadający taką władzę jak car, do objawienia swoich dobrych chęci? Niechajby przynajmniej przestał prześladować — jeżeli już dobrodziejstw nie świadczy.

Telegramy „Przeglądu".

Wiedeń 9 zerwca (pryw.). W skutek nieustannych deszczów wezbrały rzeki prawie w całej monarchii. Również z Niemiec donoszą o wezbraniu rzek.

Słota ta wywołała dziś podskoczenie ceny przenicy o 20 ct., a żyta o 10 ct.

Wiedeń 9 czerwca. Komisya walutowa rozpoczęła wczoraj na nowo przerwane przed świętami obrady. Minister finansów dr. Steinbach odpowiadał szczegółowo na ostatnią mowę p. Suessa i starał się wykazać, że zarządzenia proponowane przez p. Suessa byłyby dla nas niekorzystne. Prowizoryczne oznaczenie relacyi, jak tego p. Suess pragnie — jest niemożliwe, bo w takim razie cena złota podlegałaby ustawicznym fluktuacyom. Dr. Steinbach zbijał twierdzenie jakoby między walutą złotą a bilansem handlowym istniał związek przyczynowy, w końcu dowodził, że niepodobieństwem jest z regulacyą waluty czekać na rezultaty, jakie wyda zwołana przez Amerykę konferencya monetarna.

Wiedeń 9 czerwca. Datek 10.000 zł., który zarząd kancelaryi nadwornej przesłał do Przibramu dla ofiar katastrofy w tamtejszych kopalniach, pochodzi od Cesarza i od Cesarzowej.

Petersburg 9 czerwca. *Journal de St. Petersbourg* pisze o spotkaniu się cara z cesarzem niemieckim w Kilonii co następuje: „Wszyscy przyjaciele pokoju w Europie muszą w tem spotkaniu dwóch potężnych monarchów widzieć nową rękojmię utrzymania i skonsolidowania powszechnej sytuacyi pokojowej, która tak widocznie odpowiada interesom wszystkich."

Budapeszt 9 czerwca. Cesarz przyjmował wczoraj liczne deputacye. Na przemowę prezydenta sejmu węgierskiego odpowiedział Cesarz, dziękując za te entuzyastyczne objawy hołdu, jakich doznaje. W przemówieniu swem wspomniał Cesarz o wielkich patryotach węgierskich, którzy przed laty dwudziestu pięciu i później byli mu wiernymi doradzcami, a narodowi mądrymi przywódzcami. Wielu z tych mężów dziś już nie żyje, ale pociechę sprawia to, że duch ich żyje dalej w narodzie.

Na czele deputacyi urzędów municypalnych stanął hr. Szapary i miał stosowną przemowę. — Cesarz odpowiedział mu, że w szczerym entuzyazmie, którego dowody składa kraj cały, widzi pocieszający objaw gorącego pietyzmu narodu dla korony św. Szczepana, tudzież tradycyjnej miłości dla Cesarza, domu cesarskiego i tronu. Dla tego też prosi Cesarz, aby całej ludności Węgier, Kroacyi i Slawonii, bez różnicy religii i narodowości, wyrażono jego podziękę monarszą. Cesarz żywi głęboką wiarę, że cokolwiek się stanie, on na dzielnych synów węgierskiej ziemi zawsze liczyć może.

Przemówienia monarchy przyjęto z wielkim zapałem okrzykami „Eljen".

Berlin 9 czerwca. Tutejszy *Tagblatt* otrzymał z Zanzibaru depeszę tej treści, że Anglicy, którzy przybyli z głębi Afryki do tego miasta opowiadają, że Emin-basza rzeczywiście umarł.

Wiedeń 9 czerwca. Wczoraj odbyło się w teatrze wystawowym ostatnie przedstawienie gościnne czeskiego Divadla. Dawano operę Smetany „Prodana nevesta". Po skończonem przedstawieniu miał dyrektor Divadla p. Szubert mowę, którą zaczął po czesku, a skończył po niemiecku. P. Szubert dziękował publiczności za życzliwość, jaką darzyła teatr czeski i wyraził życzenie, aby jednocząca siła sztuki wywarła swój wpływ we wszystkich gałęziach życia ku uciesze kochanego monarchy.

Po tych słowach p. Szuberta rozległy się w amfiteatrze entuzyastyczne okrzyki: „Slava" i „Hoch".

Paryż 9 czerwca. *L'Estafette* twierdzi, iż W. ks. Konstanty przed odjazdem swym z Nancy otrzymał telegram, w którym car polecił mu mocno zaznaczyć przyjacielskie uczucia, jakie car żywi dla Carnota i podnieść wspólność interesów francuskich i rosyjskich.

Berlin 9 czerwca. *Nordd. Allg. Ztg.* nawiązując swe słowa do artykułu, zamieszczonego w *Grażdaninie*, który pisząc o zjeździe cara z cesarzem niemieckim w Kilonii zaznaczył, iż teraz byłby największy czas, aby każde państwo wyłącznie tylko własnym rozwojem się zajmowało, oświadcza, iż propozycya ta w Niemczech znajdzie żywe echo, chociaż Niemcy nie potrzebują tyle działać dla koniecznego zabezpieczenia swej egzystencyi, jak inne kraje. Dziennik ten życzy *Grażdaninowi*, aby on w swej własnej ojczyźnie znalazł dla swej słusznej a wybornej myśli to samo uznanie jak w Niemczech.

Wiedeń 9 czerwca. Na dzisiejszem posiedzeniu komisyi walutowej przemawiał p. Teliszewski i oświadczył, że jest przeciwnikiem gospodarki papierowej, a zwolennikiem czystej waluty złotej. Mówca zgadza się z tem, aby państwo dopiero później rozpoczęło wypłaty gotówką. Relacya oznaczona w przedłożeniach rządowych jest zdaniem p. Teliszewskiego całkiem uzasadniona.

Zaprowadzenie waluty złotej nie powinno zachwiać równowagi budżetowej, ani też nie powinno stać się powodem zaprowadzenia nowych podatków pośrednich. — W końcu żądał p. Teliszewski, gwarancyi, że Węgrzy solidarnie będą szli z Przedlitawią w kwestyi rozpoczęcia wypłaty w gotówce.

Po p. Teliszewskim zabrał głos p. Beer.

Sofia 9 czerwca. *Swoboda* mniema, że ogłoszony ukaz książęcy, którym zasuspendowano wielu ormiańskich urzędników pocztowych, telegraficznych i kolejowych w Warnie i Ruszczuku jest w związku ze znanem sprzysiężeniem, które w Ruszczuku wykryto, a w którem Ormianie przygotowywali bomby do wysadzenia w powietrze gmachów rządowych w Konstantynopolu.

Przyjechali do Lwowa

dnia 9 czerwca 1892.

HOTEL IMPERIAL: W. hr. Dzieduszycki z Jezupola. R. hr. Drohojowski z Krukienic. W. Turski z Brzeżan. F. Jaruntowski z Załanowa. S. Skierecki z Ustrzyk. J. Olszewski z Żółkwi. T. Niementowski z Kocmania.

HOTEL CENTRALNY: H Hönich z Budapesztu. M. Czerkes z Tarnopola. E. Kruh i A. Angermann z Zbaraża. J. Eckhardt z Żelibowy. F. Demel z Pragi. W. Padlewski z Ostałowic. F. Selke z Wiednia.

HOTEL FRANCUSKI: M. Jurjewicz z Rosyi. W. Przedrzymirska z Stryja. A. Wisnicka z Turad. J. Dworzak z Tomaszowa. K. Schartelmüller i A. Müller z Wiednia. M. Dziwoński z N. Sącza. F. Ross z Norymbergii.

HOTEL ŻORŻA: E hr. Ryszczewska z Sławuty. Z. Kozłowska z Ochrymowiec. J. Jędrzejowicz z Litatyna. A. hr. Wodzicki z Olejowa. St. hr. Dzieduszycki z Gwoździca. J. Starzyński z Baranowa. E. Zagórski z Kołodziejówki.

Nadesłane.

III. Lista składek na pomnik Aleksandra hr. Fredry, mający stanąć we Lwowie, dnia 20 czerwca 1893 r. jako w setną rocznicę jego urodzin.

Z listy dr Józefa Dziembowskiego z Muszyny: Dr. J. Dziembowski 2 zł., M. Hirsch, X. Gruszka, A. Krynicka i Hibl po 1 zł., Podsoński, Juszczyk, Krawczyński, J. Arlet, Nowakowski po 50 ct., Roth 25 ct., Obst 20 ct., X. 30 ct. razem 9 zł. 5 ct.; z listy Jana Konopki z Jaworowa: Jan Szeptycki 25 zł., Towarzystwo zaliczkowe w Jaworowie 25 zł., Rada powiatowa w Jaworowie 50 zł., Kazimierz Łubieński 10 zł. Aleksander Szymanowski i Jan Konopka po 5 zł., B. Bosoczański, A. Turański, Ferdynand Krischke i Edward Dąbrowski po 1 zł. razem 124 zł.; z listy Aleksandra Truszkowskiego w Jaśle razem 15 zł.; z listy X. Franciszka Sowy z Tłumacza: Rada powiatowa w Tłumaczu 10 zł., Ks. Sawa 3 zł., Emil John 20 zł., Oktaw Doschot 5 zł., August Gumiński 2 zł. razem 40 zł.; z listy Wojciecha Madeyskiego w Rolowie: Piotr Madeyski 5 zł., Juliusz Madeyski (syn) 3 zł., Antonina Madeyska 2 zł., Wojciech Madeyski 5 zł. Władysław Madeyski (syn) 2 zł., Zdzisław Madeyski (syn) 2 zł, Zbigniew Madeyski (wnuk) 1 zł., Ignacy Madeyski 2 zł., Michalina Madeyska 1 zł., Marya Madeyska 1 zł., Wincenty Madeyski 1 zł, Stanisława Madeyska 1 zł., Leon Madeyski 5 zł., Kazimierz Madeyski 1 zł., Władysław Madeyski 3 zł, Julia Madeyska 2 zł., Artur Madeyski 3 zł, Adam Madeyski 1 zł. Mieczysław Madeyski 1 zł., Tadzio Madeyski 50 ct., Adam Kossecki 1 zł, Ks. Edmund Madeyski 2 zł., Karol Madeyski 2 zł. razem 47 zł. 50 ct. Ze składek zarządzonych przez Wydział powiatowy w Rudkach, za pośrednictwem Piotra Zbrożka: Władysław Niedzwiecki 5 zł., Br. Ludwik Brückmann, Stanisław Bużyński i Aleksander Szczepański po 50 zł, Rada powiatowa w Rudkach 100 zł., z przedstawienia teatralnego 61 zł 50 ct, Mieczysław Lewicki 25 zł., Władysław Spausta 5 zł., Stefan Janko 10 zł., Malicki 3 zł., ze składek na listę p. Piechowskiego 13 zł., procent wzrosły 95 ct. razem 373 zł. 45 ct.; Bal z Tuligłów 10 zł; Rada powiatowa w Mościskach 10 zł; Rada powiatowa w Dąbrowie 20 zł.; z listy Jana Kerekjart ze Stanisławowowa 12 zł. 10 ct; z listy Juliana Szumiańskiego z Rawy ruskiej: Ant. Grzesikiewicz, Ludwik ks. Poniński, Wł. Górka, Zygmunt Rudnicki, dr Ludwik Lisiński po 1 zł, Izydor Łączyński, Michał Służewski po 1 zł., Zdzisław Obertyński i Alfred Stecki po 5 zł.. Em. Bocheński 1 zł 20 ct., J. Szumlański 1 zł. 80 ct. Karol Stachów i Ant. Kolbuszowski po 50 ct. razem 21 zł; z listy Ludwika Balickiego z Wykt: Serwatowski i Sozański Feliks po 10 zł., Wilhelm Kasparek z Samborskiego i Ludwik Balicki po 2 zł, Kazimierz Bodakowski i Józef Smoleński po 1 zł., Baranicki i Iwanszyszak po 20 ct. razem 28 zł. 40 ct; z listy Wojciecha Biechońskiego z Gorlic: Walery Rogóski, Neumann, Stanisław Biechoński i Wojciech Biechoński po 5 zł, razem 20 zł.; Kasa zaliczkowa w Nadwórnie 20 zł., Leopold Woykowski 1 zł.; Fundacya hr. Skarbka 30 zł. razem 2086 złr.

Telegram giełdowy.

Wiedeń dnia 9 Czerwca godz. 1 min. 40

Akcje kred.	320 —	Węg. kolej półn. wschodn.	197.—
Alpiny	66 80	Wiedeńskie losy kom.	159 50
Kredyty węg.	361 50	Akcje tyton.	176·—
Anglobanki	154 75	Gal. obl. indem.	105·—
Uniony	247·50	Elbethale	237·25
Ludwiki	215.—	Länderbanki	217·40
Nordbany	291·—	Renta zł. węg.	110·45
Lombardy	99·37	Bankvereiny	116·40
Losy tureckie	42·90	Renta węg. p.	100·65
Staatsbahny	305 12	Ruble	125·—
Czerniowieckie	244·50		

Usposobienie stałe.

Lwów. Z Izby handlowej 9 czerwca 1892.

	płacą	żądają
1. Akcje za sztukę. (bez kuponu dłużnego bez dywidendy)		
Kolej galic. Kar. Lud. 200 zł. w. a.	213 —	216 —
„ lwow.-czer.-jass. 200 zł. w. a.	243 —	246 —
Banku hip. galic. 200 zł. w. a.	833 —	837 —
„ kredyt. galic. 200 zł. w. a.	— —	[illegible]6 —
2. Listy zastawne za 100 zł.		
Banku hip. galic. 5% 43 „	100 90	101 60
Banku hip. galic. 5% z 10% pr.	107 50	108 20
Banku hip. 4½% wa. los. w 50 lat.	98 25	98 95
Banku krajowego 4½% wa.	98 50	99 20
Tow. kred. galic. 4% „ nieokr.	96 80	97 50
„ „ „ 4 „ „ 41½	95 10	95 8[illegible]
„ „ „ 4½ „ „ 52 l.	99 40	100 10
„ „ „ 4 „ „ 56 „	94 70	95 40
3. Listy dłużne za 100 zł.		
Z. G. kr. wł. (daw. 6%) 5% w likw.	60 —	63 —
„ „ „ „ (daw. 5%) 3½% „	52 50	[illegible]4 50
4. Obligi za 100 zł		
Indemnizacyjne galic. 5 prc. w. k.	104 70	105 4[illegible]
Galic. fund. propinacyjnego 4% „	94 —	94 70
Bukow. fund. propin. 5% w. a.	100 50	101 20
Kom. banku kraj. 5 prc. wa. I em.	100 —	10[illegible] 70
Pożyczka kraj. z r. 1873 6 prc. w. a.	[illegible] 50	— —
„ „ „ 1883 [illegible]	[illegible] 60	98 3[illegible]
5. Losy.		
Losy miasta Krakowa	2 —	4 —
„ [illegible]	2[illegible] 50	[illegible] 50
6. Monety.		
Dukat holenderski	[illegible].62	7[illegible]
Napoleondor	[illegible].4[illegible]	9 53
Półimperyał rosyjski	9·70	—.—
Rubel rosyjski srebrny	1·25	1.35
„ „ papierowy	[illegible]25½	1 25½
100 [illegible]	58 25	[illegible]8 75

17)

Zabójstwo Fryzyera

POWIEŚĆ

przez

Emila Gaboriau.

(Ciąg dalszy).

Rzeczywiście, wszystkie moje nalegania na nic się nie zdały, nie chciał mówić... Musiałem iść z nim do najbliższej cukierni, gdzie zmusił mnie do gry w domino.

Grałem najgorzej, będąc zajęty czem innem, on też bił mnie ciągle w kości i tak trwało do chwili, aż zegar wybił drugą godzinę.

— Dalej, na posterunek! — rzekł do mnie, odsuwając kości...

Zapłacił, a za chwilę staliśmy znów w bramie, naprzeciw sklepu Monistrola.

Po dziesięciu minutach, we drzwiach sklepu ukazała się pani Monistrol, czarno ubrana, z długim krepowym welonym, jakby już wdowa.

— Zapięknie ubrana, jak na śledztwo! — mruknął Méchinet.

Zaleciła baczność małej służącej i wyszła na ulicę.

Towarzysz mój przeczekał cierpliwie pięć minut, a skoro osądził, że młoda kobieta nie może nas widzieć:

— Już czas — rzekł do mnie.

I po raz drugi weszliśmy do magazynu.

Mała dziewczyna siedziała za kontuarem i dla rozrywki chrupała kawałki cukru, skradzione pewnie swej pani.

Poznała nas od razu, zaczerwieniła się, przerażona trochę i powstała.

Lecz Méchinet nie dał jej czasu ust otworzyć.

— Gdzie jest pani Monistrol? — zapytał.

— Wyszła, proszę pana.

— Zdaje ci się.. Jest w pokoju za sklepem.

— Przysięgam panu, że jej nie ma.. Niech się pan przekona.

Pan Méchinet uderzył się w czoło, z miną niezadowolnioną.

— O, mój Boże! jak to nieprzyjemnie... Biedna pani Monistrol zmartwi się okrutnie...

Dziewczyna patrzyła na nas z otwartą gębą.

— Lecz, co prawda — ciągnął — możesz zastąpić panią, moja piękna panienko... Powróciłem tutaj, ponieważ zgubiłem adres pana, którego miałem odwiedzić z jej polecenia...

— Jakiego pana?

— Wiesz przecie, pana... a to dobre, zapomniałem znów nazwiska!... Pana... do licha!... znasz go na pewno... Tego pana, co to wasz pies dyabelski tak go słucha...

— A! pana Wiktora...

— Tak, tak właśnie... Co on za jeden?

— Czeladnik jubilerski... Pracowali razem gdy pan mój był także czeladnikiem, dlatego Pluton go słucha...

— Możesz mi zatem dać adres pana Wiktora?

— Z pewnością. Mieszka przy ulicy Królewskiej pod numerem 23.

Dziewczyna była uradowana, że mogła nam się przysłużyć, a mnie serce bolało, gdym słyszał, jak bezwiednie denuncyuje swoją panią...

Pan Méchinet nie rozczulał się podobnemi rzeczami.

A nawet po otrzymaniu adresu, zakończył rozmowę smutnym żarcikiem, albowiem w chwili, gdy drzwi do wyjścia otwierałem, odezwał się:

— Dziękuję, piękna panienko, dziękuję! Prawdziwą przysługę zrobiłaś pani Monistrol, będzie ci bardzo obowiązana...

XII.

Kiedym znalazł się na chodniku, jedna myśl głównie mnie opanowała.

Wyciągnąć nogi i biedz na ulicę Królewską, przytrzymać tego Wiktora, prawdziwego winowajcę, jak najwidoczniej.

Jedno słowo Méchineta zimną mnie wodą oblało.

— A trybunał! — rzekł do mnie. — Bez rozkazu przytrzymania, z podpisem sędziego śledczego, je nic mogę... Biegnijmy do prefektury...

— Spotkamy tam panią Monistrol, a skoro nas ujrzy, każe ostrzedz swego wspólnika...

— Może być — odparł Méchinet ze źle tajoną goryczą — bardzo być może!... winowajca zemknie i pozory zostaną ocalone... A jednak mógłbym temu przeszkodzić. Chodźmy, chodźmy prędzej!

Nadzieja zwycięztwa sprawiła, że biegł jak jeleń ścigany... Dopadłszy prefektury, przeskakiwał na raz po cztery schody, wiodące do gabinetu sędziego, a zwracając się do szefa straży pytał, czy sędzia śledczy, któremu polecono sprawę „zabójstwa fryzyera" znajduje się w swoim gabinecie.

(Dokończenie nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor: **Wacław Masłowski.** Papier Braci Fijałkowskich w Białej. Z drukarni nar. W. Manieckiego. Zarządzca: Waleuty Hodak.